

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne

•

cena 5 zł

•

nr 12 (236)

•

grudzień 2011



Zajazd „U Dudziarza” Kościan, Skwer Krimpen, tel. 65 512 12 55 w zimowej szacie

Fot. Bogdan Ludowicz



Współczesne jasełka.

Fot. Bogdan Ludowicz

O jasełkach

Mamy wiadomość z Ewangelii, że Chrystus, narodzony w stajni, złożony był in praesepe. Praesepe znaczy w polskiej mowie żłób. Jasła zaś zowią się zagrody pod żłobem, gdzie słomę na podściel pod konie służącą kładą; mówią też jasła, kiedy w oborach, w których bydła stawa, nie masz żłobów, tylko w takie zagrody, z deszczek zrobione, kładą dla bydła słomę i sypią sieczkę. Ten, co pierwszy wymyślił jasełka, o których niżej będę pisał, rozumiał, że żłób i jasła są imiona jedną rzecz znaczące, tę samą, co łacińskie praesepe, przeto lalkom swoim i fraszkom dzieciennym, którymi wyrażał Narodzenie Chrystusowe, nadał imię jasełka. Które kiedy nastąpi do Polski, nie wiem, jak jednak pamięcią sięgam, we wszystkich kościołach były używane; obchodzono je tak jak groby wielkopiątkowe, lubo mało co ludzie stateczni, tylko najczęściej matki, mamki i piastunki z dziećmi, studenci z dyrektorami i młodzież doroslejsza obojczy płci, pospólstwo zaś drobne niemal wszystko.

Pomienione jasełka były to ruchomości małe, ustawione w jakim kącie kościoła, a czasem zajmujące cały ołtarz niżej i wyżej po bokach, tylko jedną mense ołtarzową nie zaprzętnioną sobą zostawiając do odprawowania mszy świętej wolną. Była to w pośrodku szopka mała na czterech słupkach, daszek słomiany mająca, wielkości na szerz, dłużej i na wyż łokciowej; pod tą szopką zrobiony był żłobek, a cza-

sem kolebka wielkości ćwierćłokciowej, w tej lub w tym osóbką Pana Jezusa z wosku albo z papieru klejonego, albo z irchy lub płótna konopiami wypchanego uformowana, w pieluszki z jakich płatków białych i płóciennych zrobione uwiniona; przy żłobku z jednej strony wół i osieł z takiej materii jak i osóbką Pana Jezusa ulane lub utworzone, kłęczące i puchaniem swoim Dziecinę Jezusa ogrzewające, z drugiej strony Maria i Józef stojący przy kolebce w postaci nachylonej, afekt natężonego kochania i podziwienia wyrażający.

W górze szopki pod dachem i nad dachem aniołkowie unoszący się na skrzydłach, jakoby śpiewający „Gloria in excelsis Deo”. Toż dopiero w niejkiej odległości jednego od drugiego pasterze padający na kolana przed narodzoną Dzieciną, ofiarujący Mu dary swoje: ten masła garnuszek, ów syrek, inny baranka, inny koźlę; dalej za szopą po obu stronach pastuszkowie i wieśniacy; jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy śpieszący, dźwigający na ramionach barany, kozły; między którymi osóbkami rozmaity stan ludzi i ich zabawy wyrażające: panów w karetach pałacowych jadących, szlachtę i mieszczan pieszo idących, chłopów na targ wiozących drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, sprzedających chleby, szynkarki różne

W numerze:

**Boże Narodzenie
w cieniu swastyki
przypomina
Jerzy Zielonka
(4-7)**

**Stan wojenny w 1981
roku
we wspomnieniach
prof. Kazimierza Mizerki
(9-10)**

**Bohaterkę lat wojny
Prakسدę Szpurek
przedstawia
Teresa Masłowska
(12-15)**

**O ucieczce z grobu
donosi
Kamila Czechowska
(19-21)**

**Śladami siostry Joanny
podąża
Teresa Wiśniewska
(25-27)**

**Kryminalne incydenty
świąteczne
opisuje
Katarzyna Żurek
(41-42)**

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż). **Adres redakcji:** 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtyśiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

O jasełkach

cd. ze strony 3

trunki szykujące, niewiasty robiące masło, dojące krowy, Żydów różne towary do sprzedania na rękę trzymających i tym podobne akcje ludzkie.

Gdy zaś nastąpiło święto Trzech Królów, tedy przystawiano do tych jasełek osóbki pomienionych świętych, klęczących przed narodzonym Chrystusem, ofiarujących Mu złoto, mirrę i kadzidło, a za nimi orszaki ich dworzan i asystencji rozmaitego gatunku: Persów, Arabów, Murzynów, laurfów, masztalerzów prowadzących konie pod bogatymi siadzeniami, słońów, wielbłądów. Toż dopiero wojska rozmaitego gatunku: jezdne i piesze, murzyńskie i białych ludzi, namioty porozbijane, na koniec przez imaginację, za związek rzeczy występującą, regimienta uszykowane polskiej gwardii, pruskie, moskiewskie, armaty, chorągwie jezdne, husarskie, pancerne, ułańskie, kozackie, rajtarskie, węgierskie i inne rozmaite.

Na takie jasełka sadzili się jedni nad drugich, najbardziej zakonnicy. Celowali zaś innych wszystkich wielkością i kształtnością kapucyni, a gdy te jasełka, rokrocznie w jednakowej postaci wystawiane, jako martwe posągi nie wzniecały w ludziach stygnącej ciekawości, przeto reformaci, bernardyni i franciszkanie dla większego powabu ludu do swoich kościołów jasełkom przydadli ruchawości, między osóbki stojące mieszając chwilami ruszane, które przez szpary, w rusztowaniu na koniec zrobione, wytykając na widok braciszek zakonni lub inni posługacze klasztorni rozmaite figle nimi wyrabiali. Tak Żyd wytrzymał futrem pokazując go z obu stron, jakoby do sprzedania, które znienacka żołnierz Żydowi porwał. Żyd futra z ręki wypuścić nie chciał. Żołnierz Żyda bił, Żyd, porzuciwszy futro, uciekał. Żołnierz wydarte futro Żydowi przedawał nadchodzącemu mieszczaninowi, a wtem Żyd skrzywdzony pokazał się niespodzianie z żołnierzami i instygatorem [prokuratorem królewskim – dopisek od red.], biorącym pod wartość żołnierza sprzedającego futro i mieszczanina kupującego.

Gdy taka scena zniknęła, pokazała się druga, na przykład chłopów pijanych bijących się pałkami albo szynkarka tańcząca z gachem i potem od diabła razem oboje porwani, albo śmierć z diabłem tańcząca, a potem się bijące z sobą i w bitwie znikające. To znowu musztrujący się żołnierze, tracze drzewo trący i inne tym podobne akcje ludzkie do wyrażenia łatwiejsze, które to fraszki dziecinne tak się ludowi prostemu i młodzieży podobały, że kościoły napełnione bywały spektatorem [widzem – dopisek od red], podnoszącym się na ławki i na ołtarze włączającym; a gdy ta zgraja, tłocząc się i przymykając jedna przed drugą, zbliżała się na metę założoną do jasełek, wypadał wtenczas spod rusztowania, na którym stały jasełka, jaki sługa kościelny z batogiem i kropiąc nim żywo bliżej nawinionych, nową czynił reprezentacją, dalszemu spektatorowi daleko śmieszniejszą od akcyi jasełkowych, kiedy uciekający w tył przed batogiem jedni przez drugich na kupy się wywracali, drudzy rzeżwo z ławek i ołtarzów zeskakując jedni na drugich padali, tłukąc sobie łby, boki, ręce i nogi albo guzy i sińce bolesne o twarde uderzenie odbierając.

Takowe reprezentacje ruchomych jasełków bywały, prawda, w godzinach od nabożeństwa wolnych, to jest między obiadem i nieszporami, ale śmiech, rozruch i tumult nigdy w kościele czasu ani miejsca znajdować nie powinny. Dla czego, gdy takowe reprezentacje coraz bardziej wzmagając się doszły do ostatniego nieprzyzwoitości stopnia, książę Teodor Czartoryski, biskup poznański, zakazał ich, a tylko pozwolił wystawiać nieruchawe, związki z tajemnicą Narodzenia Pańskiego mające. Po którym zakazie jasełka, powszedniejąc coraz bardziej, w jednych kościołach zdrobniały, w drugich w całe zostały zaniechane (...).

JĘDRZEJ KITOWICZ

Jędrzej Kitowicz (1727-1804). Wielkopoleńczyk, historyk i pamiętnikarz. Ksiądz katolicki związany z ziemią kościańską - m.in. sekretarz pisarza wielkiego opata benedyktynów w Lubiniu Michała Lipskiego. Autor „Opisu obyczajów za panowania Augusta III”, skąd zaczerpnięto fragment o jasełkach, zachowując pisownię oryginału.

Opowieść wigilijna

Na pierwszą Gwiazdkę do stałem smoczek, grzechotkę, wózek, dwa worki jabłek i kozę. Smoczek „zorganizowała” Tośka w „Krankenhausie” to znaczy w szpitalu w Kościanie, grzechotkę sobie znanym sposobem wyprodukowały z drewna Babaja i Nienia, a wózek dla niemowlaków zmontowali Józiu i Kaziu z części zdobytych w niemieckich firmach, w których pracowali jako robotnicy III Rzeszy. Kończył się rok 1943. Powiatowy przywódca NSDAP Herbert Andersson, berlińczyk z Charlottenburga i zaciekle nazista, na łamach lokalnego miesięcznika Kostener Heimatblätter pozdrowiał wszystkich Niemców, życzył im pracowitych świąt i zapewniał, że zwycięstwo jest bliskie.

Urodziłem się w środę 20 października 1943 roku o godz. 19.30 w mieście Kosten przy Posenerstrasse 84 (obecnie ul. Poznańska 18), na pierwszym piętrze domu państwa Koszewskich, jakże życzliwych mojej rodzinie. Poród odbierała niemiecka akuszerka dyplomowana Martha Westphal, którą wspominaliśmy i wspominamy z wdzięcznością, bo i później opiekowała się mną na tyle, na ile mogła. Byłem tak zwanym wyskrobkiem. Tośka (Czesława) miała wtedy 22, Babaja (Barbara) – 20, Józiu – 19, Kaziu Kuźniak (przybrany brat) – 18, a Nienia (Teresa) – 13 lat.

Dwa worki i koza

Ojca przy moich urodzinach – niestety - nie było. 18 sierpnia 1943 roku wywieziono go na przymusowe roboty pod Stuttgart - o moim przyjsciu na świat dowiedział się z listu. Kiedy ustawiono ich na targu żywej siły roboczej, podał się za ogrodnika i trafił niezłe - „przygarnęła” go właści-

cielka wielkich sadów w Göppingen w Badenii – Wirtembergii i zatrudniła jako specjalistę od szczepienia drzewek. Przynosiło to niejaki pożytek nam tutaj w Kościanie, bo począwszy od owej Gwiazdki '43 dość regularnie na nasz adres nadchodziły dosłownie worki z dużymi, dorodnymi jabłkami.

O pierwszych dwóch przesyłkach powiadomiono tydzień przed świętami pisemnie. Mama wpadła w panikę, myśląc, że „Szwaby męża mi zakatrupiły i w paczkach zwracają rzeczy osobiste”. Na pocztę wyruszyła Tośka, biegle władająca językiem niemieckim - kiedy urzędnik Postamtu nożem rozciął 25-kilogramowe paczki na podłogę wysypały się jabłka tak piękne, że dech zapierało i kartka „Jeden worek Jurkowi na urodziny; drugi dla was wszystkich kochani pod choinkę”. Pocztownica zamurowała. Był nim tak zwany baldok czyli niemiecki przesiedleńca z krajów bałtyckich, miał czwórkę dzieci, a tu święta za pasem, więc uznał, że podzielimy się jabłkami. Tośka przyniosła do domu wprawdzie dwa worki, ale każdy wypełniony tylko do połowy. Ta praktyka „pół na pół” powtarzała się później, ale mieliśmy pewność, że jabłek, gruszek i czego tam jeszcze nie rozkradną całkowicie, bo baldok pilnował i naszego, i swojego interesu. Po latach dowiedziałem się, że opisywany tu pocztowiec był współpracownikiem kościańskiego Gestapo, zajmował się kontrolą korespondencji i przesyłek wszelakich.

Tata myślał o mnie zanim wyjrzałem na ten świat. Przepiękna to sprawa i szczęście wielkie mieć takiego właśnie ojca. Kiedy zorientował się, iż Mama – w wieku znacznie przekraczającym statystyczną zdolność rozrodczą - jest w ciąży, zaczął się martwić i kombinować jak tu zapewnić dziecku pierwszy pokarm. W okupowanym Kościanie funkcjonował system kartkowego przydziału żywności – mleka dla polskich dzieci w nim nie było. Martwił się i martwił, aż wymyślił. Koszewscy z dawien dawna mieli kozę mleczną, ale koza jak to koza była już stara, mleka dawała mało, a i robione sposobem domowym serki nie odpowiadały już najlepszej jakości. Tatę lubiano, miał wielu przyjaciół po kościańskich wsiach. W początku sierpnia 1943 roku, na krótko przed wywózką na roboty, oznajmił wszem i wobec, że załatwił nową kozę u znajomych w Kobylnikach.



Wigilia 1940 r. Rodzina jeszcze beze mnie. Od prawej siedzą: Tata, Mama, Tośka, Babaja; stoją: Józio, Nienia i Kaziu.

Na ale jak tu to zwierzę odebrać, skoro kozy, krowy, świny i wszystko to, co mogło dawać mięso i mleko – na podstawie zarządzeń okupacyjnych – było szczegółowo ewidencjonowane specjalnymi znaczkami. Kozy w Kościanie znaczone metalową blaszką z odpowiednim numerem, umieszczoną na uchu. Za zgodą Koszewskich seniorce kozie ucięto ucho, zdjęto blaszkę i Tata z tymże znakiem, biorąc ze sobą 13-letnią Nienię udał się rano pieszo do Kobylnik. Przyjaciele przygotowali mu odpowiednie mleczne zwierzę, młodsze od seniorki. Jest południe – idą, dochodzą do granic miasta, po lewej stronie budka Hilfspolizei – niemieckiej policji pomocniczej. Kozą się zaparła i ani kroku dalej. Nienia teraz wspomina, że widząc zmagania ojca ze zwierzęciem i przekleństwa, wypowiedane mieszaniną łamanego niemieckiego z polskim (ferfluchte, ty bydle jedno, kom do domu) spowodowały, że ich i kozę w ogóle nie zatrzymano.

Becik w śniegu

Musiało być i zimno, i śnieżnie. Tak przynajmniej wynika z - przekazywanego z pokolenia na pokolenie – opisu pierwszego mojego wypadku. Otóż, kiedy emerytowany kierownik parowozu Piotr Kubacki i córka piekarza Wanda Bączkowska krótko przed świętami wzięli mnie bryczką do chrztu do Oborzysk Starych, blisko kościoła zorientowali się, że mnie nie ma. Zawrócili. Leżałem w beciku, kilkaset metrów od świątyni, na zakręcie, w zasypanym śniegiem rowie – widocznie zsunąłem się z siedzenia, na którym mnie położono. Wypominano mi tę „ucieczkę” przy każdej okazji.

Chrzcił mnie osobiście zacny proboszcz ks. Zygmunt Cieplucha. Kościoły katolickie w powiecie kościańskim pozamykano, parafie zlikwidowano, majątek złupiono, a duchownych wywieziono na zagładę do niemieckiego obozu koncentracyjnego w



► Dachau. Czynne były wtedy tylko dwie parafie polskie – we wspomnianych Oborzyskach Starych dla wiernych spod Czempinia, Kościana, Krzywina i w Bronikowie z księdzem proboszczem Janem Jazdończykiem dla Kamieńca, Śmigła i Wielichowa. Jedyna niemiecka parafia katolicka znajdowała się w Starym Bojanowie i kierował nią sprzyjający nazistom ks. Klemt.

Opowiadam o tym często historykom wschodniej Polski, którzy próbują zarzucać Wielkopolanom, że nie stworzyli leśnej partyzantki, bo rzekomo hitlerowcy nie wyrazili na to zgody. I mówię, że tu w Warthegau spacyfikowano Kościół katolicki, nie było polskiej szkoły, polskich orga-

nizacji i stowarzyszeń, polskiej choćby z nazwy policji, polskich majątków ziemiańskich, przedsiębiorstw itd.; tu obowiązywał wyłącznie język niemiecki. I jeśli do tego dodać, że nie było wielkich obszarów leśnych, a wysiedlenia, przesiedlenia i niemiecka lista narodowa sprawiły, iż w każdym domu w mieście i w każdej osadzie wiejskiej żyli Niemcy, których liczba wzrastała z miesiąca na miesiąc, to narodowa konspiracja antyniemiecka miała u nas charakter elitarny, kadrowy i nie koncentrowała się w lasach, tylko w polskich domach. Twierdzą nam był domu próg. To nie Generalne Gubernatorstwo z licznie zachowanymi elementami polskiego życia społecznego; tu była III Rzesza z wszystkimi tego konsekwencjami.



Święta 1943r. Już jestem. Tata pracuje pod Stuttgartem, Józiu robi zdjęcia.

W pierwszych tygodniach okupacji w Kościanie zarządzano m.in. zdawanie broni, radioodbierników, patefonów i płyt, aparatów fotograficznych, polskich książek i gazet, śpiewników i modlitewników. Tata zdecydował, że coś tam trzeba Szwabom oddać. Wybór padł na radio. Patefon z płytami, Leicę z mieszkiem, książki zadekowane na parterze u Koszewskich w pokaznej skrytce pod podłogą, gdzie gromadzono ziemniaki na zimę. Dzięki temu przetrwały m.in. liczne zdjęcia rodzinne z lat 1939-1944, także świąteczne i plenerowe – aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby wtedy z aparatem wpadły w niemieckie ręce. Fotografie wywoływał konspiracyjnie m.in. mistrz fotograficzny, przyjaciel rodziny – Czesław Ludowicz, który nie zaniechał tej czynności, chociaż zakład mu zamknięto, a sprzęt w całości – przynajmniej teoretycznie – skonfiskowano. Teraz dzięki tamtym zdjęciom, opowieściom rodzinnym i gospodarskim zapisom Mamy mogę odtworzyć jak obchodzono kościańskie święta w 1943 roku nie tylko u nas, ale zapewne w każdej polskiej rodzinie.

Z opłatkami

Na początek drzewko świąteczne czyli choinka. Mieliśmy ją w tamtych trudnych czasach co roku – świeżą, pachnącą żywicą i obwieszoną różnymi cudzińkami. Samo drzewko organizowali Józiu i Kaziu, dzięki starej znajomości z poczciwym Niemcem, kierownikiem miejskich ogrodów Arnoldem Kruschke. Ozdoby produkowały dziewczęta: obowiązkowa gwiazda na czubie, białe gwiazdki żmudnie wyplatane z pasków papieru, bombek mało – jedna, dwie; cukierków w ogóle, dużo płatków z waty i srebrnej lamety w zastępstwie włosów anielskich. Surowiec do produkcji ozdób pochodził z opakowań do lekarstw, które ze szpitala przynosiła Tośka.

Pod drzewkiem mała szopka: Dzieciątko, Józef i Maria, pastuszkowie, owieczki i pies wilczur. Gliniane elementy żłóbka przechowano pieczołowicie z przedwojennych czasów, co najwyżej odkurzano je i ponownie malowano. W szopce jaśniały Dzieciątko i gwiazda betlejemka podświetlane z baterii żarówkami, a instalacje tradycyjnie podłączali chłopcy. I jeszcze kolorowe jabłka od Taty, które za dużo ważyły, aby je przywiesić na drzewku oraz orzechy włoskie z ogrodu Koszewskich. Pod choinką znajdowały się skromne pre-

zenty dla wszystkich i pisane do siebie, niby to od Gwiazdora, laurki z życzeniami oraz dwie kartki „zagraniczne” do mnie od Taty z Göppingen i od Mariana Koszewskiego z niemieckiego obozu koncentracyjnego Gusen.

Wojna, okupacja, ziąb i głód, a tu na wigilijnym stole właściwie niczego nie brakowało. Z zapisków Mamy wynika, że w 1943 roku z kartek dziennie na jedną osobę przypadało w gramach: 320 - chleba, 35 - cukru, 14 - kaszy, 14 - marmolady z dyni i 9 - margaryny, a i tak nie zawsze kartki znajdowały swoje pokrycie w wyznaczonych sklepach. Z pożywienia to wszystko. A gdzie tu ryby, mięso, mleko, masło, mąka itp. Ale Polak potrafi. Oplatek mieliśmy w zapasie - od Wigilii 1940 roku, kiedy to jeszcze rozprowadzał go ks. proboszcz Stanisław Bednarkiewicz; tradycyjne potrawy zawdzięczamy zapobiegliwości i zmyślności. Trzy rodzaje ryb, skłusowanych w Obrze, a więc: płoć, okoń i tak zwane „byczki” przyrządzone na różne sposoby, zupa ze łbów rybich, groch z kapustą, makiełki czyli makaron z makiem, ziemniaki gotowane, sama kapusta kiszona - gotowana i pierogi własnej roboty. W święta mieliśmy też mięso, głównie za sprawą rzezi królików, które hodowano w chlewiku, w starej szafie przerobionej na klatki. No i własne pieczywo - chruściki, pączki i coś przypominającego smakiem placek drożdżowy. Przy wigilijnym stole pozostawiono dwa puste miejsca: jedno dla Taty, na którym po kolacji umieszczono mnie, drugie - dla przypadkowego gościa.

Podnieś rękę...

Nastrój - jak się łatwo domyślać - smutny bardzo ratowała muzyka i śpiewy. Patefonu i płyt - co prawda - ze skrytki nie wyjęto, ale mieliśmy dwoje skrzypiec, mandolinę i harmonijkę ustną, więc po kolacji rozpoczęły się koło mnie indiańskie harce i kołędowanie, które omal nie skończyło się tragicznie. Na parterze, pod nami, mieszkała samotnie niemiecka nauczycielka, straszna zrzęda - Mathilde Zapf, znająca co nieco język polski. Od czasu do czasu, kiedy robiło się głośniejsz, pukała miotłą w sufit i wykrzykiwała, że zaraz pójdzie „na szucpolicaj” i zgłosi, że zakłócamy jej spokój, kiedy ona musi przygotować się do akademii partyjnej NSDAP, która odbywała się regularnie między świętami a Nowym Rokiem.

Było powszechnie wiadomo, że niemiecka policja szczególnie ostro tępiła dwie polskie pieśni: „Boże coś Polskę” i „Bóg się rodzi”. W dokumentacji kościańskiego Schutzpolizei znalazłem po latach dokumenty, które potwierdzały tamtą obiegową opinię. Tymczasem „Bóg się rodzi” była ulubioną kolędą naszych rodziców i kiedy siostry i bracia zaczęły ją śpiewać, Mathilde wściekla się, wparowała do naszego mieszkania i zrobiła piekielną awanturę. Poszło o strofę, zaczynającą się od słów „Podnieś rękę Boże dziecię błogosław Ojczyznę miłą”. Interweniowali „schupowcy”. Upiekło nam się wtedy jednak.

W protokole policyjnym, spisany po niemiecku w onże wigilijny wieczór o godzinie 18.00, można przeczytać, że „Rodzina Zielonka jest 7-osobowa. Przybyliśmy do mieszkania przy Posenerstrasse 84, gdzie wszyscy byli trzeźwi. Rzeczywiście grano tam i śpiewano, ale niemiecką pieśń kościelną „Stille nacht”, co sami naocznie stwierdziliśmy. Zakazanych urządzeń, śpiewników i nut nie znaleziono, a Czesława Z. wyjaśniła, że rzekomej kolędy „Bóg się rodzi” nikt z zamieszkałych tu nie zna. Z tego wynika, że towarzysząca partyjna Zapf pomyliła melodie, a wobec nas zachowała się agresywnie i wyzywała od nieuków. Zwróciliśmy rodzinie Zielonka uwagę, że należy ostrożnie obchodzić się z ogniem, bowiem w pokoju stwierdziliśmy, że w piecu kaflowym wywiercona została dziura, w nią włożono rurę stalową i połączono z dodatkowym piecykiem. Kary żadnej nie nałożono, ponieważ wspomniana Czesława Z. wyjaśniła, że uczyniono to w ramach, ogłoszonej w „Ostdeutscher Beobachter”, akcji oszczędności opału i energii pod hasłem „Heize richtig”.

Matczyna solidarność

Wigilia w 1944 roku była jeszcze smutniejsza, bo w połowie lipca Kazia zabrano z domu i wywieziono na przymusowe roboty pod Mławę. Za to rodziła się nadzieja, bo Niemcy na wszystkich frontach ostro dostawali w kość. Siarczasty mróz dawał się we znaki, a opału brakowało. Właśnie z owym strasznym mrozem wiąże się wydarzenie, które świadczy o mojej Matce i zapewne o wielu matkach kościańskich. Na sześć dni przed wyzwoleniem to jest 21 stycznia 1945 roku pod wieczór do bramy naszego domu zaczął się ktoś silnie dobijać.



Zima 1943r. Józia na drogowskazie przed wieżą ciśnień.

Trwała wielka ucieczka niemieckiej ludności cywilnej, przez zatłoczone miasto przewijały się wozy i bryczki, wózki i rowery, a temperatura na wielkim termometrze, umieszczonym w pobliżu gazowni miejskiej spadła do minus 28 stopni C.

Łomotanie nie ustawało. Nie było już strasznej Mathilde, która zbiegła z miasta w połowie stycznia, więc Mama zeszła na dół i ujrzała grupę przemarzniętych uciekinierów - wśród nich dzieci. Wpuściła ich, znalazł się wrzątek i wszystko to czym chata bogata. Ogrzali się, przenocowali i rankiem zamierzali ruszyć w dalszą drogę, kiedy okazało się, że zmarł 10-miesięczny syn przesiedleńca spod Łęczycy. Matka chłopca przeklinała Hitlera: - Niech go piekło pochłonie; ojciec - zastanawiał się jak tu w takich warunkach urządzić pogrzeb. Moja Mama pocieszała ich jak tylko umiała, miała dobre serce, zapomniała o urazach i wzięła na siebie obowiązek pochowania dziecka. Odjechali.

Tośka wzięła martwe dziecko na ręce i zaniosła do sióstr zakonnych, które zorganizowały pochówek. Przez długie lata traktowałem tę rodziną opowieść nieco z niedowierzaniem. Aż kilka lat temu w rejestrze zgonów trafiłem na zapis: „22 stycznia 1945 roku zmarł w Kościanie Adolf Konradt z Łęczycy urodzony 12 III 1944 roku”. Kto stwierdził zgon - nie wiadomo; wiadomo tylko, że przyczyną śmierci było zapalenie płuc i zamarznięcie.

JERZY ZIELONKA

Boże Narodzenie 1931 roku w „Gazecie Polskiej”

W numerze świątecznym kościańskiej „GP” z 1931 roku ukazał się artykuł redakcyjny, w którym napisano m.in.: „Żyjemy w czasach złej, przereklamowanej koniunktury gospodarczej. Drogi szczęśliwego bytu ekonomicznego zeszły się z przepaścią krętego kryzysu. Zmęczenie walką o chleb daje się odczuć w każdym kraju, gdy do wrót ludzkich zakrada się widmo nędzy i głodu. Czy w takich warunkach możemy się troszczyć o pokój świata? Gdy miast zdrowej zasady zabiera się społeczeństwu radość życia w ciepłe rodzin chrześcijańskich. Czy to są drogi do pacyfikacji? Dlatego też istniejąca chaos pojęć, milcząca odraza do wystąpienia zdrowej opinii szerokich mas musi nas doprowadzić na kategorię drogi czynu w uświadamianiu katolickim i narodowym”.

Zwrócono uwagę, że około 340 roku papież Juliusz I ogłosił dzień 25 grudnia, a raczej noc poprzedzającą ten dzień, jako święto przyścia na świat Chrystusa. Przypomniano także tradycje i zwyczaje związane z Bożym Narodzeniem: „Najpiękniejszym i najwspanialszym momentem tych świąt jest wieczerza wigilijna, a z nią najwięcej związanych obrzędów. Nawet do tego dnia przywiązanych jest moc wierzeń. W niektórych okolicach Polski utrzymują, że kto tego dnia wczesnym rano wstanie, nie będzie przez cały rok ospałym; zabicie tego dnia zwierzyny wróży kłótnie, zaś i wszelkiego rodzaju nieporozumienia są złym prognostykiem na przyszłość; niejedzenie

zaś kilku potraw wigilijnych ma pozabawić człowieka tyłuż uciech i radości”.

Wyjaśniono także nazwę kolędy, która „(...) jest pieśnią, a zarazem świątecznym podarunkiem. W kalendarzu rzymskim pierwszy dzień każdego miesiąca zwał się *calendas*; zaś Nowy Rok obchodzono bardzo uroczyście jako *festum calendarium*. Ponieważ w wiekach średnich początek nowego roku liczył się od Bożego Narodzenia, więc wyraz [*kolęda*] utał się i pozostał”.

W okresie przedświątecznym ukazywało się wiele ogłoszeń, jak np.: „Uwaga przy zakupach na gwiazdkę prosimy żądać wszędzie Wina krajowe, Likieri, Koniaki, Rummy, Araki, Soki owocowe z firmy W. Czajki Fabryka Likierów i Koniaków. Wytwórnia win i soków owocowych. Detaliczna sprzedaż również we własnym składzie przy Al. Kościuszki 32”.

Organizowano również różne uroczystości:

- „W poniedziałek 21.12 o godz. 6 wieczorem urządza szkoła powszechna żeńska Historyczne Jasełka Polskie w układzie ks. prof. J. A. Łukaszkiewicza. Po przedstawieniu nastąpi wręczenie gwiazdki przy drzewku, podzielenie się opłatkiem i śpiew kolęd biednej dziatwy”.

- „W drugie święto Bożego Narodzenia odegrana zostanie w Hotelu Warszawskim opera St. Moniuszki „*Verbum Nobile*”, którą wystawia z łaskawym współudziałem p. Jolanty Filipiakówny oraz pań z Chóru Kościelnego „*Surzyński*”, chór męski „*Arion*” z Kościana. Poza operą program przewiduje występ

koncertowy i solowy na skrzypcach, przede wszystkim zaś na zakończenie odtąńczony zostanie ognisty czardasz we wykonaniu znanej nam z poprzednich już występów p.p. Filipiakówny i Michałowskiej”.

Władze miejskie Kościana ustaliły, że sklepy w okresie od 18 do 23 grudnia mogły być otwarte o 2 godziny dłużej ponad czas normalny, jednak nie później niż do godz. 21.00. W niedzielę 20 grudnia sklepy mogły być otwarte od 13.00 do 18.00, a w Wigilię tylko do 18.00. Rozpoczynające się w tym okresie ferie świąteczne dla uczniów trwały od 22 grudnia do 7 stycznia.

Zgodnie z tradycją warto przypomnieć kilka dowcipów z tamtych gazet:

Nie ma różnicy. – Podobno brunetki mają lepsze serce niż blondynki? – Nie wierzę; moja żona była już brunetką i blondynką, a zawsze jest taka sama.

U okulisty. – Jak piję herbatę, panie doktorze, to mnie coś kłuje w oko. – Proszę wyjąć łyżeczkę, to przestanie; następny proszę.

Między uczniami. – Wiesz, czasem ogarnia mnie wielka ochota, żeby się pouczyć. – I co wtedy? – Czekać, aż mi przejdzie.

Pranie. – Jak mężczyźni sortują pranie? – Na „brudne” oraz „brudne”, ale jeszcze do noszenia.

Wybór. Przychodzi klient do sklepu i pyta: - Czy jest cukier w kostkach? – Nie. – To poproszę jakąś tanią bombonierkę dla teściowej.

JAN PAWICKI

O Kościanie za rok

Bardzo mądrzy ludzie z reguły przestrzegają przed oglądaniem się wstecz. I to nie zawsze w kontekście okoliczności porównywalnych z przykładem żony Lota. Oglądanie się wstecz może spowodować szok rozpoznaniem jakości zmian, które zaistniały jakoś tak niezauważenie. Jakoś tak niezauważenie na przykład mój Kościan zmienił się z dość skądinąd szarego centrum planety Ziemia w skądinąd znacznie bardziej kolorowy i sympatyczny mini fragmencik rzeczywistości globalnej. Wspomniany szok natomiast dotyczy jednak wyłącznie mnie i wraz ze zmianami, które objęły mój Kościan, zaistniały zmiany, które kolejno obejmowały to, co widzę w lustrze. Oczywiście zagadnienia mojego obecnego wizerunku rozwijać absolutnie nie zamierzam.

Niemniej w ostatnim miesiącu roku, mając w najbliższej perspektywie Święta Bożego Narodzenia i klimaty sylwestrowe (których, niech będzie mi to wybaczone, nie cierpię) naturalnie próbuję zatrzymać chwilę dla zorientowania się w położeniu. Wia-

domo, że tak uzyskana informacja niemal natychmiast traci na aktualności, podobnie jak tracą aktualność notowania giełdowe. Nieprzypadkowo zastosowałem takie właśnie porównanie. Właśnie notowania giełdowe i najprzeróżniejsze rynki sprawiły, że mój kolorowy sympatyczny, jak najbardziej europejski Kościan, staje przed problemem odnalezienia się w rzeczywistości wstrząsów wywołanych mechanizmami finansowymi, powstałymi w intelekcie demonicznego ekonomisty i wcielańnych przez jego szalonych sponsorów przez kilka dobrych lat.

Przepraszam, jeśli moje, laika, rozumienie przyczyn amerykańskiej i europejskiej zapaści gospodarczej, nie należy do szczególnie wysubtelniejszego, ale stanowi ono rezultat odczytań komunikatów, wypowiadających się obecnie wszelkiej maści autorytetów naukowych i praktyków. Na razie więc pytanie o najbliższe perspektywy dla Kościana pozostaje otwarte w sposób dość niepokojący, aczkolwiek można się pocieszać prawdopodobnym dużym wzbogaceniem doświadczenia.

Spodziewam się także kościańskiego wzbogacenia doświadczenia w związku z EURO – 2012. Położenie między Poznaniem a Wrocławiem, jak sądzę, spowoduje jakieś uszczknięcie z atmosfery obecności piłkarskich fanów różnych nacji, być może pragnących rozładować swój entuzjazm także nieco dalej od stadionów. Żałuję tylko, że dotychczas nie udało mi się zauważyć, żeby kościańscy decydenci ten temat intensywniej podejmowali.

Chociaż bardzo mądrzy ludzie przestrzegają przed oglądaniem się wstecz, działania takie niekiedy są czynione, a niekiedy nawet muszą. Przypuszczam, że za rok o tym czasie czynione będą – z wielu powodów – szczególnie intensywnie. Dynamika zdarzeń istotnie wpłynie na wizerunek mojego Kościana. Czy są szanse na to, by w ostatecznym rachunku był to wpływ korzystny? Wraz z wszystkimi kościaniakami bardzo tego Kościanowi życzę.

TADEUSZ HOFMAŃSKI

Pamięć o Profesorze

30 lat temu ogłoszono stan wojenny. Internowano działaczy „Solidarności”. Święta spędzali z dala od rodzin. Jednym z nich był nauczyciel licealny, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej - prof. Kazimierz Mizerka z Kościana. Poniższy tekst jest fragmentem biograficznej książki Jerzego Zielonki pt. „Prof. Kazimierz Mizerka (1925-2005), wydanej w 2007 roku nakładem Stowarzyszenia Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie.

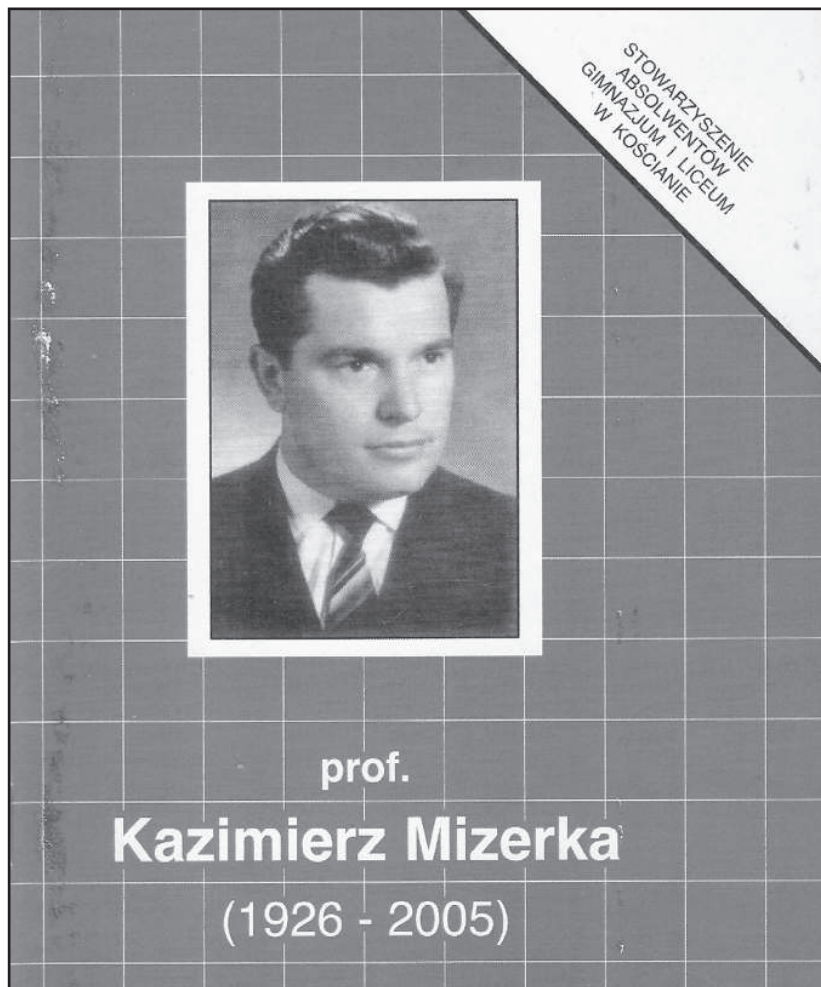
Nadszedł grudzień 1981 roku. Stan wojenny – internowanie. Ten czas odbił się niewątpliwie na zdrowiu Profesora. W swoich wspomnieniach pisał:

„(...) Mnie internowano w środę 16 grudnia. Pod dom zajechała „suka” mi-

licyjna i czterech uzbrojonych ludzi wpadło do mieszkania, a dwóch pilnowało wyjścia pod blokiem. W mieszkaniu była tylko 16-letnia córka i 13-letni syn. Żona i ja byliśmy w Liceum, gdyż mimo odwołania zajęć szkolnych, nauczyciele musieli

codziennie meldować się w pracy. Najbardziej smutne było to, że szczegółową rewizję w domu przeprowadzono przy dzieciach. Gdy wróciłem do domu, dowódca grupy oznajmił, iż jestem internowany i zabierają mnie na komendę. Żonie powiedział, że ma areszt domowy, a następnego dnia ma się zameldować w wojewódzkiej Komendzie Milicji w Lesznie. Wyprowadzono mnie z domu pod strażą, do wieczora trzymano w Komendzie Milicji w Kościanie, a po godz. 18.00 czterech uzbrojonych milicjantów wiozło





Okladka książki o Profesorze. Proj. Grzegorz Pawlak

► mnie skutego kajdankami do Leszna (...)

Po rewizji z 16 grudnia 1981 roku pozostał ślad na piśmie. Starszy sierżant MO Aleksander G. wystawił pokwitowanie następującej treści:

„Niniejszym stwierdzam, iż w dniu 16 XII 1981r. przy przeszukaniu dokonanym u Mizerka Kazimierz zamieszkały Kościan Oś. Waryńskiego 72/1 zabrałem następujące przedmioty: 1/ Maszyna do pisania „Olimpia”. 2/ Dokumentacja NSZZ Solidarność oraz broszury. Przedmioty te odebrałem od wyżej wymienionej osoby jako dowody rzeczowe (...)”.

Decyzję o internowaniu Profesora podjął komendant wojewódzki MO w Lesznie ppłk Antoni Kurach i uzasadnił ją tak:

„Pozostawienie na wolności obywatela Mizerka Kazimierz Józef zagrażałoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że może inspirować lub podjąć działania zagrażające bezpieczeństwu państwa (...)”.

Z Leszna trafił do więzienia w Ostrowie Wielkopolskim. Tam – za kratami – obchodził Wigilię, Święta Bożego Narodzenia i witał Nowy Rok, a 6 stycznia wywieziono go wraz z innymi do ośrodka internowania w DarłóWKu. Ostatecznie zwolniono go z internowania 1 lutego 1982 roku, ale spokoju nie dano – nękaną dom i rodzinę rewizjami, inwigilowano, straszono. Zaledwie dwa tygodnie po zwolnieniu Profesora – 14 lutego 1982 roku – funkcjonariusze MO z Leszna przeprowadzili kolejną rewizję w domu i skonfiskowali „wywrotowe” materiały. Tym razem pokwitowanie wystawił por. Marek P., pisząc:

„Niniejszym stwierdzam, iż w dniu 14 II 1982 roku przy przeszukaniu dokonanym u Barbary Mizerki zam. Kościan Osiedle Waryńskiego 72/1 zabrałem następujące przedmioty: 1/ sześć arkuszy kalki maszynowej (zapisane) i 5 arkuszy papierów maszynowego; 2/ dwa arkusze brudnopisu dotyczącego intencji mszalnej; 3/ informacja dotycząca referendum w „Fadromie” – sztuka 1; 4/ broszura „Dokumenty dot. porozumień Gdańsk, Szczecin, Jastrzębie, Sta-

tut NSZZ „Solidarność”; 5/ Tezy do ustawy o szkolnictwie wyższym (...)”.

Kościan miał i ma swoje plusy i minusy. To miasto i jego ludzie często potrafią zaskakiwać. Profesor wrócił z internowania i jakby nigdy nic rozpoczął m.in. urzędowanie jako przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej. Pod naciskiem bezpieki rozpoczęto akcję specjalną, mającą na celu „demokratyczne” pozbawienie Kazimierza Mizerki tej funkcji. Na 19 kwietnia 1982 roku zwołano posiedzenie MRN.

Sięgnijmy znów do wspomnień Profesora:

„(...) Po powrocie z DarłóWka wróciłem do pracy w szkole, chociaż po dwóch dniach musiałem się udać do kliniki kardiologicznej we Wrocławiu na badania, gdyż zaczęły się kłopoty ze zdrowiem. Koleżanki i koledzy nauczyciele oraz młodzież przyjęli mój powrót z radością. Pragnę jeszcze wspomnieć, że w czasie pobytu w DarłóWku, z inicjatywy koleżanek i kolegów nauczycieli, w kościele farnym w Kościanie została odprawiona msza św. w intencji mego powrotu. Wkrótce także podjąłem pracę w Miejskiej Radzie Narodowej, gdyż nadal byłem jej przewodniczącym. Odbyła się jednak specjalna sesja, na której głosowano, czy mam ustąpić z funkcji czy pozostać. Grono odważnych radnych zdecydowało w głosowaniu o tym, bym pozostał. Dla mnie było to ważne wydarzenie, gdyż budziło wiarę w tych mieszkańców naszego miasta, którzy mieli odwagę mieć własne zdanie i nie poddać się presji władz partyjnych (...)”.

19 kwietnia 1982 roku, jeszcze w stanie wojennym, wydarzyła się więc rzecz niesłychana. Będąca pod wpływem nomenklatury rada miejska nie zgodziła się na usunięcie z funkcji swojego przewodniczącego, który według ówczesnej władzy był przecież „wrogiem ludu”. Sprawa stała się głośna w kraju...

Profesor pełnił funkcję przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej do końca tamtej kadencji i wtedy zrezygnował. Ale jeszcze raz – w 1990 roku – powierzono mu tę funkcję. Tym razem przewodniczył Radzie Miejskiej w Kościanie w I kadencji po wolnych wyborach.

*

Prof. Kazimierz Mizerka zmarł w Kościanie 5 listopada 2005 roku i pochowany został na starym cmentarzu katolickim.

100. urodziny matki trędowatych

W Poznaniu uroczyste obchodzono 100. urodziny legendarnej doktor Wandy Błęńskiej, która przez ponad 40 lat leczyła chorych na trąd w Ugandzie.

- Dziękuję Bogu, że mogłam tam pracować. To były lata ciężkiej, ale szczęśliwej pracy, bo pomagałam ludziom. Miałam szczęśliwe życie, za co serdecznie dziękuję i Bogu, i ludziom, którzy mnie otaczali. Doznałam od nich wiele serdeczności i dobra – powiedziała wzruszona doktor Wanda Błęńska, i dodała: - Czuję się dobrze, jestem zdrowa, bo tylu ludzi się za mnie modli.

Za swoje słowa zebrała rzesiste oklaski kilkuset osób, które przyszły świętować jej urodziny w auli Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu.

200 lat dla pani doktor

Uroczystość rozpoczął film o jej życiu i pracy w Bulubie w Ugandzie. Życzenia złożyli przedstawiciele władz samorządu miasta i województwa, Uniwersytetu Medycznego, listy przesłali abp. Stanisław Gądecki i premier Donald Tusk. Z życzeniami pospieszył prezes Okręgu „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy AK ppłk Jan Górski, także lekarz, który powiedział: Doktor Błęńska walczyła i pomagała ludziom w czasie okupacji, a potem kontynuowała walkę, walcząc z biedą, odrzuceniem i chorobą. W obu sytuacjach działała z narażeniem życia. Jestem niezmiernie dumny, podobnie jak wszyscy żołnierze Armii Krajowej, że pani doktor Błęńska jest w szeregach naszego związku. Jej życie stanowi wspaniały przykład dla młodzieży, jak należy postępować. Życzymy pani doktor wielu lat w zdrowiu.

Piękny bukiet czerwonych róż wręczyła pani doktor wiceprezes ŚZŻAK Maria Krzyżńska. W kularach solenizantka odbierała życzenia i kwiaty od pozostałych gości. Poznaniacy obdarowali ją ogromnym naręczem kwiatów i górą prezentów. Po wpis do księgi pamiątkowej ustawiła się długa kolejka. Zachwyty wszystkich wzbudził występ uczniów Piątkowskiej Szkoły Społecznej, która obrała jej imię. „Muzyczny bukiet” podarowa-

ły Poznańskie Słowiki, a zebrani goście odśpiewali „200 lat”.

W holu uniwersytetu otwarto okolicznościowe wystawy: o życiu doktor Błęńskiej i działalności Fundacji Pomocy Humanitarnej „Redemptoris Misio”, do której powstania się przyczyniła. Około południa solenizantka udała się na posiedzenie Senatu Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, w trakcie którego prezydent Bronisław Komorowski odznaczył ją Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w pracy naukowo-badawczej w dziedzinie medycyny tropikalnej i leczeniu trądu.

Wieczorem na Most Jordana świętować z solenizantką przyszli poznaniacy, którzy wypuścili w niebo sto białych balonów. Każdy symbolizował ofiarowaną cegielkę pomocy dla potrzebujących w Ugandzie.

„Szarotka”

Niewielu młodych ludzi, wie kim chce zostać w przyszłości, jaką obrać drogę. Wanda Błęńska wiedziała. Chciała pomagać chorym, potrzebującym pomocy w Afryce. Już na studiach medycz-

nych na Uniwersytecie Poznańskim działała w Akademickim Kole Misyjnym, uczestniczyła w krajowych i zagranicznych kongresach misyjnych, wydawała pismo misyjne. Po otrzymaniu dyplomu lekarza w 1934 r., podjęła pracę w szpitalu miejskim i Państwowym Zakładzie Higieny w Toruniu. Jej plany wyjazdu na misję pokrzyżowała wojna. 31 sierpnia 1939 r. została zmobilizowana do szpitala polowego na Helu. W październiku wróciła do Torunia, do pracy w zakładzie higieny, już pod kierownictwem niemieckim.

Wojna wojną, a doktor Błęńska robiła swoje. Ze wszystkich sił pomagała potrzebującym. W 1940 r. przystąpiła do toruńskiej organizacji konspiracyjnej „Bataliony Śmierci”. Polskim jeńcom na fortach na Glinkach przekazywała listy, ubranie, jedzenie. W 1942 r. została zaprzysiężona do Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, później wchłoniętej do Armii Krajowej. Używała pseudonimów „Szarotka” i „Grażyna”. Była łączniczką, zbierała zapasy materiałów sanitarnych, szkoliła nowo przyjętych żołnierzy. Doktor Błęńska leczyła także rannych akowców oraz chorych ukry-



Doktor Wanda Błęńska (w środku) z rodziną i przyjaciółmi z AK.

Fot. Teresa Masłowska

▼ wających się przed gestapo. Jej brat Roman, który przebywał w oflagu w Stargardzie, chorował. Błęńska dostała się do obozu, by oddać dla niego krew. Aresztowana w czerwcu 1944 r., w sierpniu tego samego roku została zwolniona. Po latach jej koleżanki wspominały, że „swoim uśmiechem wewnętrznej dobroci ujarzmiła szefów Niemców w Medizinuntersuchungsamt (Urząd Badań Medycznych)”.

Po wojnie na krótko wróciła do Państwowego Zakładu Higieny w Toruniu, wykładała także na Akademii Lekarskiej w Gdańsku. W 1946 r., ukryta pod pokładem statku, dotarła do Niemiec. Wstąpiła tam do 2. batalionu Wojskowej Pomocniczej Służby Kobiet i jako lekarz pracowała w szpitalu. W latach 1947-1948 odbyła kursy z zakresu medycyny tropikalnej w Hamburgu i Liverpoolu. Została członkiem Królewskiego Towarzystwa Medycyny Tropikalnej.

Ukochana Dokta

9 lutego 1950 r. wsiadła na statek w Anglii i popłynęła do Afryki. Przez Mombasę, Kampalę, dotarła do Fort Portal - szpitala misyjnego sióstr białych. Po tym, jak nie wybudowano tam obiecanego leprozorium, przeniosła się do Buluby nas Jeziorem Wiktoria, gdzie siostry franciszkanki z Irlandii prowadziły ośrodek leczenia trądu. Przez pierwsze lata sama uczyła się tej choroby. Była jedyną lekarką na dwa szpitale; w Bulubie i Neyendze, po drugiej stronie Nilu. Odległe od siebie o jakieś 50 km. Pani doktor kupiła więc motor i nim dojeżdżała. Przed nią nikt nie wytrzymał w ośrodku dłużej niż rok. Ona została na całe 42 lata. W kartotece miała 24 tysiące pacjentów. Chorych było bardzo wielu, i to na różne choroby, nie tylko na trąd. Ośrodki cierpiały na brak personelu. Wkrótce zaczęła organizować kursy dla pomocników lekarzy, które kończyły się egzaminem państwowym, wykładała w szkołach pielęgniarskich. Od 1957 r. prowadziła zajęcia dla studentów medycyny uniwersytetu w Kampali. W 1993 r. ośrodek w Bulubie nazwano na cześć ukochanej Pani Doktor jej

imieniem. W latach 70. i 80. XX w. doktor Błęńska sprowadzała do pomocy lekarzy z Polski. W 1981 r. przekazała prowadzenie ośrodka w Bulubie swojemu wychowankowi - ugandyjskiemu lekarzowi Josephowi Kawumie. Sama nadal pracowała w ośrodku w charakterze konsultanta.

Siostry w Bulubie miały w kartotekach zdjęcia chorych, by móc ich rozpoznać. Doktor Błęńska poprosiła, by dodały zdjęcia ran i obrzęków, i następne fotografie zrobione po kilku tygodniach leczenia z zagojonymi ranami, by pacjenci zobaczyli poprawę. Nigdy nie badała ich w rękawiczkach, żeby nie odczuli, że boi się choroby. Wszystko to miało ogromne znaczenie dla ich szybkiego zdrowienia. Żeby zrozumieć, jak niesamowite i niespotykane było jej podejście do trędowatych, trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach, nikt ich nie chciał leczyć, nie przyjmowano trędowatych do zwykłych szpitali, wykluczano ze społeczeństwa. Powiedzenie „traktować kogoś jak trędowatego” było jak najbardziej dosłowne. A Dokta, jak ją nazywali pacjenci, oswajała lęk przed tą straszną chorobą. Nie tylko leczyła, ale okazywała serce. Dbała o wyzdrowienie, ale także o to, by mogli w miarę normalnie żyć. Pod jej kierownictwem powstał nowoczesny szpital, miasteczko dla chorych, z kościołem i szkołą dla dzieci.

W 1994 r. pożegnała się z Afryką. Czy, jak pisarce Karen Blixen, było jej żal opuszczać Czarny Łąd? Na pewno. Jednak w przeciwieństwie do duńskiej pisarki, doktor Błęńska wracała jeszcze do Afryki. Żegnając ukochaną Doktę dyrektor ośrodka w Bulubie dr Joseph Kawuma powiedział: - Chciałbym przedstawić doktor Błęńską jako wielką córkę Polski, która równocześnie jest wielką Ugandyjką i której drugi dom jest tutaj w Bulubie. Jako jeden z wielu jej uczniów, chciałbym poświadczyć, że doktor Błęńska jest najlepszym przykładem jaki powinien być lekarz, który całe swoje życie i siły poświęca pacjentom. Dlatego nie jest przypadkiem, że centrum kształcenia otrzymało jej imię.

TERESA MASŁOWSKA

Serce matki

Osobiste tragedie kobiet - ofiar niemieckich zbrodni, są tyle liczne, co mało znane. Trzeba o nich przypominać. Ale jak opisać złamane serce matki?

Bóle zaczęły się w nocy. Więźniarki waliły w drzwi. Po długiej chwili przyszedł strażnik, który tylko warknął: – Nie jestem położną, i poszedł. Zostawił jednak zapaloną żarówkę. Szczęściem dziecko urodziło się szybko i bez komplikacji. Problemem okazało się przecięcie pępowiny, w celi nie było żadnego noża W końcu kobiety jakoś sobie poradziły. Któraś użyła ramiączka swojej koszuli do jej podwiązania, inne zebrały skrawki ubrań, by okryć niemowlę. Zaraz też ochrzciły je kilkoma kroplami wody. Dały mu na imię Jerzy, może od świętego, co pokonał smoka, żeby chronił dziecko od złego. Tak matką została dwudziestoczteroletnia Prakседа Szpurek. W codziennej obozowej niedoli była to chwila szczęścia i dla młodej matki, i dla więźniarek, które otaczały Praksi (tak ją pieszczotliwie nazywały) opieką i życzliwością. Radość zgasła jednak tak szybko, jak się pojawiła. Na drugi dzień kobietę przewieziono rzekomo na badanie do kliniki przy ulicy Polnej w Poznaniu. Tam zabrano jej dziecko.

Wsypa okręgu

Prakседа Skrzypek urodziła się 1 lipca 1919 roku w Luboszu Starym koło Kościana. Rodzice byli rolnikami. Ciężko pracowali, żeby wychować pięcioro dzieci. Po szkole powszechnej dziewczyna wyjechała ułożyć sobie życie w Poznaniu. Znalazła pracę w kawiarni na Wierzbicicach. Czy to tam właśnie spotkała i zakochała się we Franciszku Szpurce, który we wrześniu 1939 roku walczył nad Bzurą i bronił Warszawy? Czy może już po

jego ucieczce z niemieckiej niewoli? Bohaterowie nie opowiedzą, jak było. Nie żyją. Faktem jest, że młodzi pobrali się na początku 1940 roku. Rok później urodził się ich pierwszy syn Marian.

Franciszek ledwo wrócił do Poznania zaczął działać w konspiracji. Ich mieszkanie na Wildzie stało się punktem kontaktowym, w którym zaprzysięgano żołnierzy ZWZ/AK i przekazywano tajną korespondencję. Praksesta, mimo opieki nad małym synkiem, także zaangażowała się w podziemną robotę.

- Odbierałam i wydawałam pisma i inne przesyłki poczty konspiracyjnej. Do tej samej grupy ruchu oporu należeli mój mąż, brat, siostra i szwagier, z którymi współpracowałam. Naszym dowódcą był Henryk Gos z Poznania – wspominała po latach.

Sprawy szły pomyślnie do 1943 roku. Najpierw wskutek donosu aresztowano ojca Praksesty Jana Skrzypka, oskarżono o sabotaż gospodarczy za posiadanie żaren do mielenia zboża na mąkę, wtrącono do więzienia w Rawiczu, potem do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Tamtego roku Okręg Poznań AK dotknęła kolejna wielka wyspa. Aresztowania zataczały coraz większy krąg: wpadło wielu akowców. 22 września zatrzymano także małżeństwo Szpurków. W więzieniu byli już brat Praksesty Władysław i siostra Władysława z mężem Bolesławem Gawronem. Z początku przetrzymywano ich w Domu Żołnierza, potem Forcie VII w Poznaniu. Śledztwo było ciężkie i okrutne. Praksesta przed laty opowiadała doktorowi Henrykowi Florkowskiemu, że z powodu zawansowanej ciąży była w pewien sposób oszczędzana - „tylko” przypalano ją płomieniem świecy i wbijano drzazgi pod paznokcie.

W listopadzie kobietę przewieziono do Żabikowa, które było przystankiem przed transportem do obozu koncentracyjnego. W celi zastała siostrę Władysławę Gawron. Poza tym tam znajome z AK: Martynę Nowak, Walerię Leśną z Leszna, która była dobrym duchem celi D4. Zawsze pogodna, uczynna, nie wiadomo skąd czerpała siły, by jeszcze pocieszać innych. Były tam także Waleria, siostra Floriana Marciniaka i jego ciotka Franciszka, Halina Smorawińska, pseudonim „Myszka”, która współpracowała z płk. Ostrihanskim, następnie mjr. Kamińskim. Więźniarki otoczyły Praksi opieką, najlepszą z moż-



Praksesta Szpurek (1919- 2009).

Fot. w zbiorach rodzinnych

liwych w tych warunkach. Nie miała wiadomości od męża, w domu zostawiła małego synka. Ale nie poddawała się rozpacz. Jakby to dziecko, które nosiła pod sercem, trzymało ją przy życiu...

Morze nieszczęść

Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami. Ale w przypadku tej kobiety otworzyło się morze nieszczęść. Dziecko umieszczone w niemieckim sierocińcu w Poznaniu po kilku miesiącach nagle zmarło. Brat Władek i szwagier zostali rozstrzelani w Żabikowie. Mąż, wywieziony do Gross-Rosen, zmarł w sierpniu 1944 roku. Latem tegoż roku Praksedę i jej siostrę przeniesiono do obo-

zu kobiecego w Ravensbrück. Tam zostały poddane pseudomedycznym eksperymentom.

- Z początkiem sierpnia 1944 blokowa wywołała mój i mojej siostry numer. Z grupą kilku innych więźniarek zaprowadziła nas do rewiru. Tam obie otrzymałyśmy zastrzyk w ramię. Po kilku dniach odczułam osłabienie, zmęczenie, apatię, brak apetytu mimo głodu, dreszcze i poty. Po około dwóch tygodniach zaczęłam kaszleć, wtedy wezwano mnie do rewiru i pobrano płwocinę. Pobierano ją trzy razy codziennie rano. Kaszel i zły stan ogólny nie ustępował. ➔



Z synkiem Marianem.

Fot. w zbiorach rodzinnych

Po kilku tygodniach siostry przewieziono do Buchenwaldu. W komandzie Magdeburg pracowały przy produkcji amunicji. Po kilku tygodniach były tak chore, że odesłano je do rewiru. Władysława gorzej zniosła eksperymenty, ciężko chorą z otwartą gruźlicą wywieziono ją w nieznanym miejscu. Nie zobaczyły się już nigdy. Po kilku tygodniach pobytu w obozowym szpitalu Praksesta musiała wrócić do pracy. Produkcję amunicji opisała więźniarka Irena Więckowska:

„Pracowało się na zmiany: tydzień po dwanaście godzin w dzień, od szóstej rano do szóstej wieczorem, a następny tydzień znowu z kolei od szóstej wieczór do szóstej rano, też dwanaście godzin. Robiliśmy gilzy do naboju a potem dalsza zmiana ładowała do nich proch i wykańczała naboje. W fabryce pilnowały nas aufzejerki, to były wojskowe kobiety z SS. Niektóre nawet nie robiły nam krzywdy, pilnowały nas bardzo, a niektóre jak popadło, biły pałką po głowie.”

Ciężki chleb wolności

Z początkiem kwietnia 1945 r. została wyznaczona do wyjazdu na leczenie do Szwecji. Pociąg, zmierzający w tym kierunku, zbombardowano koło Neubrandenburga. W czasie nalotu rozpętało się piekło. Wykorzystując zamieszanie więźniarki uciekły z transportu. Praksesta z kilkoma kobietami zdobyły wóz z zaprzęgiem, którym dotarły do kraju. Ona jedna z całej rodziny wróciła do domu. W Betkowie czekali na nią rodzice i starszy syn. Wciąż nie dowierzała, że Jurek - drugi synek nie żyje, próbowała go szukać. Nigdy nie znalazła grobu. Przyjaciółom zwierzyła się, że całą miłość przelała na czteroletniego Marianka.

Mogło by się wydawać, że ludzie, którzy walczyli z okupantem, będą mogli po wojnie prowadzić godne życie. Nic bardziej mylnego. Schorowana matka nie mogła jej pomóc, wkrótce też zmarła na raka. Praksesta została sama z synem i jeszcze zaopiekowała się trojgiem dzieci zmarłej siostry. Na zewnątrz silna, jak nie miała co do garnka włożyć, siadała i pisała prosząc o pomoc. Słała listy do ministerstwa zdrowia, różnych instytucji, prywatnych osób. W jednym z nich domagała się zadośćuczynienia dla dzieci siostry:

- Osłabiona po obozowym piekle, z gruźlicą płuc, bez mieszkania i środków do życia, musiałam podjąć najślabiej płatną, ciężką fizyczną pracę, aby utrzymać matkę i dzieci. Nie będę pisać jak było mi ciężko... Czasem wydawało mi się, że jest to dalszy ciąg obozu. W pierwszych powojennych latach nie płacono osieroconym dzieciom żadnej renty. Miano je zabrać do domu dziecka, ale nie chcąc pozbawić ich rodziny i domowego ciepła, wolałam ciężko pracować, bo uważałam, że lepiej niech żyją w biedzie niż osobno, z dala od siebie. Jeśli więc uzna Pani, że można im choć w części pomóc i wynagrodzić ich ciężkie przejścia, będę niezmiernie wdzięczna, bo to jakby im Matka z zaświatów pomogła.

Do zdrowia nie wróciła nigdy. Pseudomedyczne eksperymenty zrujnowały organizm. Chorowała na gruźlicę, anemię, chorobę kości, tułała się po sanatoriach. Wydawałoby się, że wyczerpała limit nieszczęść na jedno życie. Ale nie. Pod koniec życia pochowała dru-

giego syna. Odeszła trzy lata po nim. Spoczywają obok siebie na kościańskim cmentarzu parafialnym.

Ostatnie marzenie

Od 1970 roku zamieszkała w Kościanie pod opieką rodziny syna. Jej wnuczka Justyna Napierała-Jarek tak ją wspomina:

- Babcia była i jest moim największym autorytetem. Nie mam na myśli jej wojennych doświadczeń, bo to oczywiście, bardziej skupiam się na długim i ciężkim życiu, jakie miała po wojnie. Często sama je opisywała cytując wiersz swojej obozowej koleżanki Wali Leśnej. „Los mnie nie pieścił, życie nie kochało, a światła na drodze miałam tak mało...”. A mimo tych przeciwności losu nigdy nie pozwoliła sobie na słabość, nie pamiętam babci załamanej, bezradnej. Zawsze wykazywała się niesamowitą pokorą wobec życia, odwagą i wręcz nadludzkim hartem ducha. Jej niezwykła osobowość, radość życia, pogoda ducha oraz troska o nas wszystkich zawsze pchały ją do przodu. Najważniejsza była dla niej rodzina, której poświęcała się bezgranicznie, żyła naszym życiem, problemami, zupełnie nie myśląc o sobie, nie sposób wymienić, ile jej zawdzięczam. Zawsze elegancka, ale

i bardzo skromna, czarowała nas elokwencją i życiową mądrością, z której czerpaliśmy wszyscy, zaskakiwała ciekawością świata, jej wspomnień z podróży, opowiadań z czasów okupacji, mogliśmy słuchać godzinami. Ostatnim jej marzeniem było doczekać 90. urodzin, spotkać się z całą rodziną i godnie pożegnać. Doczekała. Krótco potem odeszła. Każdego dnia o niej myślę i staram się choć troszkę być taką jak

ona... A największym komplementem jest dla mnie, gdy usłyszę, że ją w czymś przypominam.

TERESA MASŁOWSKA

Korzystałam m.in. z artykułu dr. Henryka Florakowskiego „Okupacyjne losy konspiratorki Praksey Szpurek”, „Wiadomości Kościańskie” marzec 1997 r., z publikacji „Ocalone we wspomnieniach” oraz dokumentów przekazanych przez rodzinę.

Der Standesbeamte
des Standesamts Posen

Mitteilung gem. § 292, 16. OKT. 1944

zum Heiratseintrag Nr. 1/1949
der Eltern
des St.-A. Karshausen-land

Vornamen und Familienname des Verstorbenen:
Jerzy Kazimierz Szpurek

geb. am 4.2.44 in Posen
(Standesamt Posen Nr. P. 423/44)

verstorben am 20.5.44 in Posen
(Standesamt Posen Nr. P. 1776/44)

I.V.

C 763

Zawiadomienie o zgonie Jurka. Ze zbiorów rodzinnych

Doktor Piotr

Drukujemy ostatni fragment książki o historyku doktorze Piotrze Bauerze, napisanej przez jego przyjaciela prof. dr. hab. Bogusława Polaka, a wydanej przez Stowarzyszenie Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie w 2009 roku. Nakład książki jest wyczerpany.

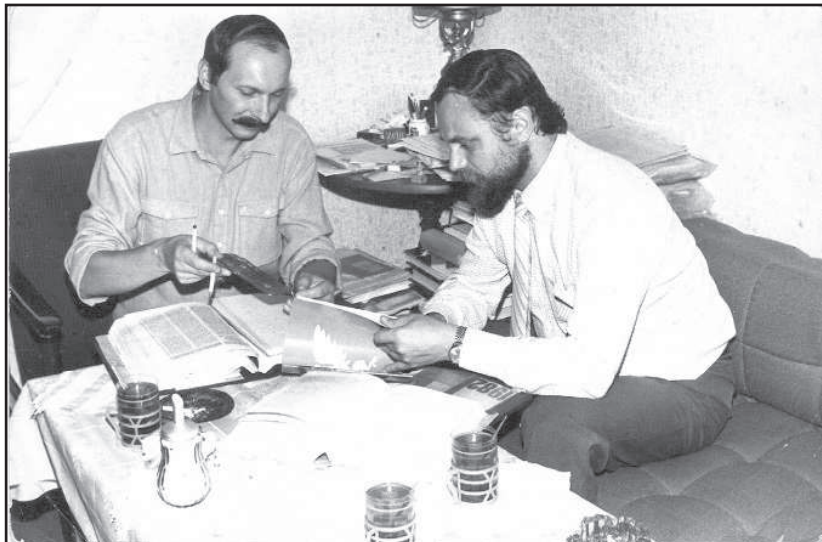
Nazwisko dr. Piotra Bauera wiąże się też wręcz nierozdzielnie z powstałym w Lesznie, w 1995 r. Instytutem im. gen. Stefana „Grotta” Roweckiego w Lesznie. Ta społeczna, mogło się wtedy wydawać ledwie lokalna inicjatywa, przez lata przekuła się w placówkę naukową, skupiającą wielu znakomitych historyków z Wielkopolski i całego kraju, rozmiłowanych w historii wojskowej. Wkład Piotra w powstanie i rozwój Instytutu najlepiej oddają słowa dr. Waldemara Handkego, Prezesa Instytutu: *Pierwszy raz spotkałem, się z nazwiskiem Piotra Bauera przy okazji lektur z historii Powstania Wielkopolskiego 1918-1919.*

Potem znów przy „Armii Poznań”. I znów, i znów...

Potem przyszedł czas, gdy na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych pojawiały się pierwsze publikacje o Wielkopolanach w sowieckich lagrach, o żołnierzach i policjantach... Pojawiły się prekursorskie publikacje o Wielkopolanach w sowieckiej niewoli, których współautorem był Piotr. Potem pierwsze spotkania i długie, czasem bardzo długie rozmowy, o tematach, o badaniach, o warsztacie, o planach, które rysowały się, gdy skończyła się cenzura i można było pisać, pisać... Czasem sprzeczałyśmy

się, spieraliśmy się, ale było to pouczające, dające do myślenia...

A potem przyszedł rok 1995, kiedy to zaczęły się rozmowy na temat utworzenia Instytutu im. Gen. Stefana „Grotta” Roweckiego. Trudno było sobie wyobrazić, zbierając tych, którzy mogliby rozpocząć prace nad z jednej strony „konstrukcją” samego Instytutu, a z drugiej strony - wesprzeć go swym doświadczeniem badawczym tak, aby nie była to tylko „wydmuszka” z piękną, górnolotną nazwą, ale rzecz konkretna — w której prowadzi się działalność badawczą... Jedną z takich osób był właśnie dr Piotr Bauer. I rzec by można, że Piotr, w przeciwieństwie do przynajmniej kilku inicjatorów Instytutu im. Gen. Stefana „Grotta” Roweckiego, do końca starał się wywiązywać ze



Piotr Bauer (z lewej) i Bogusław Polak w czasie pracy nad monografią Armii „Poznań”.
Fot. Bogdan Ludowicz

swej roli - członka założyciela, doktora nauk humanistycznych, ze znacznym dorobkiem naukowym, wspierającym raczkującą, dla wielu „prowincjonalną” inicjatywę naukową. Gdy wymyśliłem koncepcję „Grota. Zeszytów historycznych poświęconych historii wojska i walk o niepodległość” - Piotr, obok prof. Polaka i kilku najbliższych mi ludzi, był jednym z głównych recenzentów tego pomysłu. A potem jeszcze nieraz, nie dwa zgłaszałem swoje uwagi... Potem były długie rozmowy o koncepcji, o zasadach, o tych, którzy na łamach „Grota” się pojawiali. Któż wówczas w 2000 roku przypuszczał, że to się uda, że nie będzie to jednorazowy zryw, że ukaże się tego już 30 numerów. A do tego jeszcze Biblioteka „Grota” - trzydzieści dwa tytuły... I wszystko to bez jednego choćby etatu. Ma w tym swój udział również Piotr. Choć czasem się zżymaliśmy, oczekiwaliśmy więcej również od Niego. Wtedy nie wiedzieliśmy, że On miał już swój „wyścig” z chorobą... Dziękujemy za Twoją obecność - będziemy pamiętali...

W wizerunek naszego miasta nad Obrą wrosło znajdujące się w Ratuszu Muzeum Regionalne. Powołane zostało 1 kwietnia 1981 r. Pierwszym dyrektorem mianowany został mgr Witold Omieczynski. W muzeum Piotr rozpoczął pracę w marcu 1984 r., a w czerwcu 1991 r. stanął na czele tej placówki. Jego rozległa wiedza, doświadczenie i kontakty naukowe dobrze

przysłużyły się kościańskiemu muzeum, poczynając od pamiątek po bractwach strzeleckich z Kościana, Czempina, Śmigła i Wielichowa (medale nagrodowe, tarcze, broń), polskich organizacjach z okresu zaboru pruskiego, pamiątkach po powstańcach wielkopolskich, żołnierzach wojny 1939-1945, monet i banknotów. Inicjował i organizował wiele wystaw, odzwierciedlających Jego zainteresowania, które realizowały się podczas wystaw, m.in. *Tradycje bractw kurkowych Ziemi Kościańskiej, Od denara do złotych, Czyn zbrojny Kościuszkowców 1918 - 1921 i 1939 - 1945* i wiele innych. Osobistym uporem - w najlepszym tego słowa rozumieniu - w 1995 r. pozyskał dla Muzeum pomieszczenia po Powszechnej Kasie Oszczędności i przeprowadził gruntowny remont placówki. Nawiązał też kontakty z Muzeum w Alzey (Nadrenia - Palatynat), które zaowocowały wystawami w obu muzeach. Miał świetny kontakt z młodzieżą, którą przyciągał do ratusza. Niektórych pomysłów, jak np. umieszczenie w piwnicach magazynów archeologicznych kawiarenki z archeologicznymi eksponatami niestety, nie udało Mu się zrealizować. Sporym zainteresowaniem cieszyły się plenery malarskie organizowane przez Muzeum.

Wiele publikacji. P. Bauera wiązało się z Jego pasją muzealną i potrzebą popularyzacji placówki kościańskiej. 1 kwietnia 1999 r. odchodząc ze swego stanowiska dr P. Bauer powiedział dziennikarzowi: *Zebranie dużej liczby pamiątek związanych z regionem kościańskim jest zna-*

czącym sukcesem. Udało się zgromadzić takie eksponaty, choć muzeum powstało późno. Gdyby rozpoczęło działalność zaraz po wojnie, wtedy znacznie łatwiej byłoby znaleźć rozmaite pamiątki. Dzięki temu, że pisałem dużo książek na temat dziejów Wielkopolski, miałem kontakty z powstańcami, kombatantami i żołnierzami. Ludzie ci przekazali muzeum medale, odznaczenia, cenne dokumenty. W 1990 roku reaktywowano Bractwo Kurkowe w Kościanie. Byłem jego współzałożycielem. Dzięki temu w muzeum znalazło się dużo eksponatów związanych z działalnością braci kurkowych. (...) - Okres pracy w muzeum to najpiękniejsze 15 lat mojego życia zawodowego. Robiłem to, co lubię. Wypełnianie obowiązków sprawiało mi przyjemność. Nigdy nie byłem materialistą. Nie zależało mi więc, żebym dużo zarabiał. Ważne, że wykonywałem to, co dało mi satysfakcję.

Piotr napisał wiele książek i artykułów naukowych, ale był także znakomitym publicystą. Jego teksty charakteryzowały się znajomością materii, zwiezłością i klarownym stylem. Jak wynika z bibliografii, najwięcej tekstów ogłosił na łamach „Panoramy Leszczyńskiej” i „Wiadomości Kościańskich”. Na łamach „PL” debiutował w 1981 r., w okresie kwitnącej „odwilży” dla historyków dziejów najnowszych. Pisał o dziejach jednostek garnizonu leszczyńskiego w II Rzeczypospolitej: 17 Pułku Ułanów Wielkopolskich im. Króla Bolesława Chrobrego, 55 Pułku Poznańskiego Piechoty, batalionów Obrony Narodowej „Leszno”, „Kościan”, „Rawicz”, przedstawił wiele sylwetek dowódców i szeregowych żołnierzy...

*

Proszę Czytelników, aby wybaczyli mi bardzo osobisty styl tego przyczynku do biografii śp. dr. Piotra Bauera. Usprawiedliwia mnie fakt, iż całe dorosłe życie, od lat sześćdziesiątych, obcowałem z Piotrem. Łączyła nas nie tylko wszechobecna przyjaźń - Piotr był Ojcem Chrzestnym mego starszego syna Wojtka, łączyło nas też kościańskie liceum, wiele książek wspólnie napisanych..., ale razem spędzony czas, poświęcony na snucie i realizację ciągle nowych planów, rozmowy nie tylko o rzeczach ważnych, czasem wyjazdy nad pobliskie jeziora.

Historie miejscowości tworzą ludzie i ich dzieła, mniej lub więcej namacalne.

Piotr wpisał się na zawsze w historię Kościana, którego - mimo atrakcyjnych propozycji - nigdy nie opuścił. Nie da się napisać książek o powstaniu wielkopolskim, polskich działań obronnych w 1939 r. publikacji o ludobójstwie katyńskim, pieniądzu zastępczym itd. bez przywołania Jego dorobku...

W dniu i godzinie pogrzebu Piotra, 4 października 2007 r. w Koszalinie inaugurowałem powstanie Instytutu Polityki Społecznej i Stosunków Międzynarodowych w koszalińskiej Politechnice. Mam nadzieję, że mój Przyjaciel - jak zawsze wyrozumiały - zaniechanie mi to wybaczy. 17 lutego 2009 r., po kilkuletniej przerwie, spotkaliśmy się ponownie w Kościanie na XVII Seminarium Historyków Powstania Wielkopolskiego. Rano, sporą grupą przyjaciół, złożyliśmy kwiaty i zapaliliśmy znicze na grobie Piotra. Był piękny, śnieżny dzień, a my zastanawialiśmy się nad śmiercią i siłą ludzkiej pamięci.

O godz. 11⁰⁰ obrady rozpoczęły się wręczeniem Mirce Bauerowej pierwszego egzemplarza 30 tomu *Zeszytów Historycznych* Instytutu im. Stefana „Grotta” Roweckiego, poświęconego Piotrowi. Uczynili to: Pan Starosta Andrzej Jęcz, Burmistrz Michał Jurga, Marek Rezier, Jurek Zielonka i niżej podpisany. Obecnych było ponad trzydziestu historyków, referentów i dyskutantów, przybyło też około trzystu mieszkańców Kościana, reprezentujących trzy pokolenia. Wyrazy szacunku Małżonce Piotra złożył też przedstawiciel Pana Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, Pan Sekretarz Stanu Władysław Stasiak.

Jestem pewien, iż władarze Kościana w widoczny sposób, nazwą ulicy czy placu, upamiętnią dzieło życia swego tak zwanego Obywatela, rozkochanego w historii swej małej i dużej Ojczyzny – Dr Piotr dobrze sobie na takie uznanie zasłużył. Wierzę też, że kolejne pokolenia uczniów naszego kościańskiego Liceum będą dumne, iż w jego murach Piotr kształtował swoje najlepsze cechy charakteru.

Ktoś z serca napisał: *Odszedł nagle i cicho...* Jurek Zielonka dodaje: *Bardzo trudno mi mówić o Piotrze. To wszystko jest tak blisko. Był ciepłym, otwartym człowiekiem. Myślę, że za delikatnym jak na tamte czasy, i na te chyba też...*

Ale to pamięć o takich właśnie ludziach trzeba pielęgnować i kultywować, wbrew otaczającej nas oczywistości. (Koniec)

BOGUSŁAW POLAK

Dzienniki Macieja Morawskiego (X)

Czuję się Wielkopolaninem

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy dziesiąty odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2011 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl

13 października

Dziś byłem w Poznaniu na pogrzebie mego ciotecznego brata, Edwarda Potworowskiego, dominikanina. Jego imię zakonne: Walenty. Edzio był ode mnie o sześć lat starszy. Do Poznania zabrał mnie samochodem Kazimierz Morawski. Jechała z nami, jakże miła jego córka, Magda Konczewska. Uroczystości pogrzebowe miały miejsce w Klasztorze Dominikanów. Później złożono trumnę Edzia na cmentarzu przy ulicy Lutyckiej. Tłum ludzi, wiele osób bardzo mi bliskich. Renia Jakubowska, Antek Dynowski z rodziną, kuzynka Kwiecińska, Andrzej Potworowski z żoną i dziećmi, Teresa Blińska z synem Andrzejem, mój konfrater z Zakonu Maltańskiego Behr, liczni wielkopolscy byli ziemianie, no i mój przyjaciel od lat, słynny Dominikanin, Ojciec Jan Góra. Edzio był naprawdę wybitnym zakonikiem. Kilkakrotnie był przeorem, raz prowincjałem. Wiele poważnych osób podkreślało jego inteligencję i wielką szlachetność.

29 października

Wczoraj w Bibliotece Polskiej w Paryżu w ramach spotkań organizowanych przez Wspólnotę Francusko-Polską odczyty wygłosili Marcin i Piotr Libiccy. Prelegentów licznie zebranych słuchaczom, wśród których obok paryskich rodaków było szeregiem znanych Francuzów, np. Joel Broquet, prezes du Carrefour des Acteurs Sociaux, przedstawił Christophe Jussac Przewodniczący Wspólnoty. Podkreślił fakt, że Marcin Libicki jest byłym posłem na Sejm, byłym członkiem Parlamentu Europejskiego oraz historykiem sztuki. Jego syn Piotr, autor cenionych przewodników i urbanista, jest specem, gdy idzie o dzieje siedzib szlachty polskiej. Pierwszy głos zabrał Marcin Libicki. Ów mąż stanu, jeszcze nie-

dawno niezwykle wysoko ceniony w kręgach Parlamentu Europejskiego, mówił o szlachcie polskiej. Marcin Libicki herbu Jelita, wnuk Stanisława Libickiego, zesłańca z roku 1905, i syn Janusza Libickiego zamordowanego w Katyniu, płynnie wyrażając się w języku francuskim, w sposób interesujący przestawił dzieje i los naszej szlachty. Następnie Piotr Libicki, posługując się interesującymi przezroczkami, relacjonował ewolucję, dzieje szlacheckich dworów i pałaców. Po owych odczytach Virydianna z Raczyńskich Reyowa, od lat zaprzyjaźniona z rodziną Libickich, miłą i dobrą kolacją podejmowała prelegentów oraz dwie cioteczne siostry Marcina.

31 października

Dziś zacznę mój dziennik od przesłania gratulacji z okazji setnych urodzin dr med. Wandzie Błęńskiej, zwanej „matką trędowatych”, bo przez czterdzieści lat opiekowała się osobami trędowatymi w Afryce, stworzyła w Ugandzie nowoczesne centrum lecznicze, badawcze i dydaktyczne! Ta wielce zasłużona kobieta jest Poznaniąką. Cechują ją zdolności organizacyjne, wielka pracowitość i ofiarność. Jest wcieleniem owych wielkopolskich zalet, o których nieraz pisałem, zalet jakie obserwuje także u wielu mieszkańców Ziemi Nadobrzańskiej, u ludzi takich jak starosta Jęcz i jego żona, jak działacz rzemieślniczy jakże szlachetny Jan Pawlak, jak burmistrz Jurga, jak Państwo Kuźmińscy z Krzywina, Państwo Nowakowie i Pani Chrastek z Jurkowa, jak dr Waldemar Handke i Roman Majewski z Leszna... (miałbym ochotę wymienić jeszcze sporo osób, ale zatrzymuję się - już ktoś

złościwie mi powiedział: ten twój dziennik zaczyna czasami przypominać książkę telefoniczną!)

Co do wielkopolskich zalet, to ojciec mój nieraz podkreślał pracowitość poznaniaków, ich umiar w osądach, skłonność do rozsądku i także do poszanowania prawa. Przytoczę tu znany mi od dzieciństwa dowcip: w czasie powstania wielkopolskiego Generał Dowbór Muśnicki rozkazał oddziałowi powstańców zająć poznański dworzec kolejowy. Po godzinie dzwoni pytając czy rozkaz wykonano. Słyszy odpowiedź: Niestety jest to niemożliwe: kasa z peronówkami jest zamknięta!

Brat mego ojca Tadeusz też cenił sprawność poznaniaków. Obejmując będące posagiem jego żony Julii z ks. Lubomirskich dobra Małowiejskie, aby nimi sprawnie zarządzać, zaangażował szereg wybitnych poznańskich administratorów czy rządców, ludzi takich jak Panowie Dabiński, Żupański, Tilgner. W oparciu o kadrę poznańską stryj mój „postawił owe dobra na nogi”, i dając dobry przykład, przyczynił się do rozwoju sadownictwa i unowocześnienia rolnictwa w powiecie grójeckim. Odnoszę wreszcie, iż kilku moich francuskich przyjaciół, często w interesach odwiedzających Polskę podkreśla specyficz-

ne cechy Wielkopolan, ich rzetelność, zdolność dotrzymywania zobowiązań i dat, kult porządku. Gdy idzie o mnie, to widzę w Wielkopolanach doskonałych współbudowniczych Unii Europejskiej. Uderza mnie ich naturalna zdolność do zacieśniania współpracy z krajami takimi jak: Francja, Belgia, Dania, Niemcy. Jestem także pod wrażeniem ciekawych inicjatyw wielkopolskich klubów młodzieżowo-europejskich. Jak słyszę, kluby te (np. Klub Europejszyka w Jarocinie) aktywnie budują trwałe dialogi z młodymi innych krajów Unii. W takim dialogu dużą rolę odgrywa Internet. Odnoszę też, iż w roku 2010 Wiktor Postek - przewodniczący szkolnego klubu europejskiego przy liceum im. Kolberga w Kościanie (przed laty moje liceum, tylko wówczas nazywało się Liceum im. św. Stanisława Kostki) został finalistą 1. edycji ogólnopolskiego konkursu „Perspektywy Europy”. Jego esej na temat „Życie Polaków po wejściu do strefy Euro” został wysoko oceniony.

Żywo interesuje mnie też działalność krzywińskiego oddziału towarzystwa Przyjaźni Polska-Francja. Ta działalność, np. podróże 40-osobowych grup do Francji i odwrotnie - wizyty w Polsce Francuzów z zespolonej od lat układem o współpracy z Krzywiniem normandzkiej miejscowości Beny Bocage, ma też wielce pozytywne,

europejskie znaczenie! Liczę też na to, że Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych imienia Kajetana Morawskiego także szeroko rozwinię wymianę z młodzieżą francuską, zacieśni kontakty ze szkołami z okolic Beny Bocage.

1 listopada

W niedzielę, 23 października, odbyło się w Kościanie z inicjatywy Radia Merkury uroczyste zapalenie zniczy pamięci. Wszak 23 października 1939 r. w ramach hitlerowskiej Operacji Tannenberg rozstrzelano tam 26 Polaków, uznanych za wrogów III Rzeszy. Marszałek Marek Woźniak, z wykształcenia historyk, zapalił w Kościanie zniczy i dobitnie stwierdził, iż idzie o akcję bardzo ważną, bo „musimy budować wspólnotę regionalną: z mądrą przyszłością i wspólną historią...” Od siebie dodam, że choć od jesieni 1946 r. mieszkam w Paryżu, stale czuję się wiernym synem Poznania, Ziemi Nadobrzańskiej, powiatu kościańskiego. Czuję się Wielkopolaninem. Jak mnie informują, 23 października w Kościanie zabrał też głos w radio wielce zasłużony kronikarz owych okolic, pisarz i dziennikarz Jerzy Zielonka (ostatnio w Paryżu o ogromnych zasługach Redaktora Zielonki dla patriotycznych dzieł regionu, mówił mi Marcin Libicki). Zielonka w ową niedzielę złożył ponoć między innymi hołd pamięci rozstrzelanego (w owym ponurym dniu 23 października 1939 r.) Mieczysława Chłapowskiego z Kopaszewa, znakomitego rolnika, także kuratora Fundacji Sułkowskich w Rydzynie, prezesa Rady Nadzorczej „Dziennika Poznańskiego” i mego chrzestnego ojca.

Wczoraj pisałem o zaletach Wielkopolan, ich rozsądku i umiarze. Dziś podkreślę to, iż owe cechy Wielkopolan, w tym Kościaniaków czynią ich wzorowymi współbudowniczymi nowej, zjednoczonej Europy! Tak więc już od kwietnia 1990 r. Kościan rozwija owocną, partnerską współpracę z niemieckim powiatem Alzey-Worms (Nadrenia Palatynat). Owa współpraca wyraża się między innymi (i to bardzo istotne) kontaktami międzyszkolnymi. Już przed laty wielcy budowniczy zjednoczenia europejskiego, ludzie tacy jak Robert Schuman, w pełni doceniali znaczenie przyjacielskich kontaktów młodych naszego kontynentu, umacnianie w nich poczucia przynależności do tej samej kultury. Wielkopolska w latach II wojny światowej poniosła z rąk hitlerowców ogromne straty. Mimo tego nasza wielkopolska społeczność niewątpliwie świetnie rozumie konieczność przewycięzania urazów prze-



Prezydentowa Maria Kaczyńska z wizytą w Domu Spokojnej Starości w Lailly en Val. Fot. ze zbiorów prywatnych autorki wyboru

szości, jednoczenia Europy, usprawniania i umacniania Unii! Raz jeszcze przypomnę ogromne znaczenie, jakie przywiązuję do pomysłowych, energicznych i spontanicznych działań europejskich klubów młodzieżowych np. przylicealnych.

9 listopada

Przed chwilą dowiedziałem się, że niedługo ruszy pociąg Moskwa-Paryż przez Warszawę, Poznań, Berlin! Jednak ów pociąg na razie nie będzie rozwijał zawrotnej szybkości. Podróż z Poznania do Paryża ma trwać, jeśli dobrze rozumiałem, około 17 godzin. Za długo! Ale nie tracę nadziei, że za lat kilka na tej trasie pojawią się szybkie pociągi typu TGV. To sprawa najwyższej wagi. Europa musi pospieszyć się wyposażyć w takie ultraszybkie transeuropejskie połączenia. Budowa takich kolei to szybko opłacalna inwestycja, i także wskazana forma nakręcania koniunktury. Dodam, iż jeśli nie weźmiemy się energicznie do dzieła, to np. właśnie w kwestii unowocześniania transportu kolejowego, szybko prześcigną nas całkowicie w tej dziedzinie te lub inne kraje Azji.

A teraz inna sprawa. Chcę bardzo szczerze pisać ten mój dziennik! Muszę więc też ujawniać w nim me troski i wątpliwości. Otóż staram się - będąc tu prezesem Polskiego Funduszu Humanitarnego - bić na alarm, uwydatniać wagę problemu starzenia się naszych społeczeństw, szybkiego potęgowania się liczby starszych ludzi, w tym „mało sprawnych”. Widząc pilną potrzebę znalezienia nowych metod opieki nad seniorami i także gestii domów dla nich oraz odpowiedniego dokształcania pielęgniarek i pracowników służb społecznych, i samorządów lokalnych, w pełni doceniając też nowe możliwości, jakie otwierają: informatyka i robotyka, pragnę by nasz Dom w Lailly-en-Val, stał się w oparciu o UKSW [Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego – dop. T.M.], unijnym centrum eksperymentalnym w wyżej wymienionych dziedzinach. Gdy idzie o mnie, to niewiele mogę dokonać. Ośmielam się liczyć na Ks. Rektora Henryka Skorowskiego, na całe kierownictwo UKSW. Dialog z Komisją do Spraw Osób Starszych przy Rzeczniku Praw Obywatelskich, dialog z samą Panią Minister Ireną Lipowicz jest w moim odczuciu palącą koniecznością. I jeszcze jedno. Dzięki naszemu Domowi w Lailly, my Polacy możemy wnieść znaczący wkład w czołowej wagi europejski problem, problem seniorów!

Wybór i oprac. **Teresa Masłowska**

Przeżył własną śmierć

Gromadzenie zbiorów związanych z przeszłością tej części Wielkopolski rozpoczęło się w Szubinie w latach powojennych. Wtedy to powstawały przy harcówkach i w szkołach izby pamięci narodowej. I właśnie na bazie takiej izby powstało Muzeum Ziemi Szubińskiej im. Zenona Erdmanna. Gromadzimy pamiątki związane z przeszłością regionu, w tym z ludźmi, którzy na trwałe zapisali się na kartach historii naszej małej ojczyzny. W ten nurt wpisuje się postać Stanisława Losego, który związany jest i z Ziemią Szubińską, i Ziemią Kościańską.

Stanisław Losy urodził się 26 października 1899 r. w miejscowości Turew, powiat Kościan w rodzinie Szymona i Katarzyny z domu Frąckowiak. Ukończył szkołę powszechną i dwuletnią zawodową w zawodzie gorzelanego. Jako chłopiec brał udział w 1907 r. w strajku szkolnym, który wywołał był zakazem używania języka polskiego na lekcjach religii w szkołach ludowych. W 1917 r. wcielony do wojska niemieckiego. 28 grudnia 1918 r. wstąpił do powstania wielkopolskiego. Brał udział w obronie dworca głównego w Poznaniu, zdobywaniu koszar artyleryjskich, lotniska Ławica, koszar saperskich na Wildzie i obozu ćwiczebnego w Biedrusku. Następnie wstąpił do Pułku Strzelców Wielkopolskich pod dowództwem gen. Daniela Konarzewskiego. Jako starszy wachmistrz był dowódcą plutonu. W II RP działał w organizacjach weteranów powstania wielkopolskiego. Mieszkał i pracował w Barcinie. Do 4 września 1939 r. pełnił obowiązki komendanta obrony miasta Barcina. Brał udział w obronie miasta, ostrzeliwując patrole niemieckie w rejonie mostu na Noteci.

W cieniu swastyki

Po wkroczeniu wojsk niemieckich do miasta ukrywał się. Nim został aresztowany, 17 września z okna swojego domu widział egzekucję trzech Polaków. Ujęto go i więziono dwie doby w piwnicy, w gorzelni, która przed wojną była jego miejscem pracy. Zwolniono go, ale po kolejnych 24 godzinach ponownie aresztowano

i doprowadzono na posterunek żandarmerii niemieckiej w Barcinie. Tam został kilkakrotnie pobity przez żołnierzy i cywilnych miejscowych Niemców. Nie przesłuchiowano go, ale podczas bicia wyrzucano udział w powstaniu i w obronie miasta. Razem z innymi więźniami przetransportowano go do obozu zbiorczego w Szubinie.

Obóz dopiero tworzone. Losy wspominał po latach, że początkowo było ich około 20, ale z dnia na dzień liczba wzrosła do około 220. 28 października około godziny 19.00, po kolacji, wezwano więźniów na korytarz i wyczytano 10 nazwisk, w tym i nazwisko Stanisława Losego. Zamknięto ich w dwóch salach w osobnym budynku, który uznawany był za karcer. Liczyli, że skończy się na przesłuchaniach, ale one nie nastąpiły. Przez dwa dni nie podano nic do jedzenia ani do picia. 30 października około 16.30 dziesięciu Polaków przeprowadzono na cmentarz żydowski w Szubinie - na niewielkim wzniesieniu niedaleko obozu. Odczytano wyrok śmierci. Losy znalazł się w pierwszej piątce. Polecono wskoczyć im do wykopanej mogiły strzelano do stojących w dole. Po pierwszej salwie Losy upadł i stracił przytomność.

Wstanie z martwych

Gdy się ocknął, część Niemców opuszczała cmentarz, zostali tylko grabarze, którzy dobili błagających o litość Mikołaja



▶ Jabłczyńskiego i Wacława Alwina z Rynarzewa. Stanisław Losy udawał martwego, na nim leżały zwłoki dwóch zamordowanych Polaków. Niemcy zasypali zbiorową mogiłę i usłyszeli, że odchodzą. Gdy nastała cisza, wygrzebał się z mogiły. Starał się zamaskować fakt opuszczenia grobu. Z cementarza, ranny i zakrwawiony,

udał się po pomoc do Kazimierza Bałki, szubińskiego kupca, który mieszkał na rynku. Bałka zamienił okrwawione ubranie Stanisława Losego na inne. By zatrzeć ślady, ubranie noszące ślady krwi zostało natychmiast spalone. Młodszy syn Bałki na kilka minut przed godziną policyjną wyprowadził Losego za szkołę.

W dalszą drogę wyruszył sam.

falszywe papiery. 28 listopada 1939 r. na rowerze ruszył w rodzinne strony, do Turwi w powiecie kościańskim. Tam ukrywał się u rodziców, po czym szwagier Piotr Poprawski, przedwojenny zawiadowca stacji w Krzywiniu, zdobył dla niego nowe, fałszywe papiery, które pozwoliły mu 7 stycznia 1940 r. wyjechać do Warszawy.

Pod nazwiskiem Jan Kossak przeżył wojnę. 11 stycznia 1940 r. spotkał się z żoną i dziećmi, którzy zostali wysiedleni na początku grudnia z powiatu szubińskiego w okolicy Mińska Mazowieckiego, do miejscowości Dęba Wielkie. Pracował jako robotnik rolny, rybak, gajowy, zastępca leśniczego w majątku Zofiówka, w gminie Grabów nad Pilicą. W 1942 r. wstąpił do Armii Krajowej, mieszkał wtedy w majątku Zofiówka. Pełnił funkcję obserwatora w stopniu starszego sierżanta. Przekazywał informacje o stacjonujących w okolicach oddziałach niemieckiego wojska i policji, udzielał schronienia i zapewniał prowiant partyzantom, między innymi oddziałowi Stefana Lisa, pseudonim „Zwierz”. Jedną z większych akcji było ukrywanie 6 więźniów odbitych z więzienia w Grójcu. Przez dwa tygodnie udzielał schronienia także skoczkom radzieckim.

Znajomi byli przekonani o śmierci Stanisława, gdyż informacje o tej egzekucji Niemcy opublikowali na plakatkach. Jakie było ich zaskoczenie, gdy jeszcze w czasie wojny - lub po niej - widzieli go wśród żywych. (...) *Wiem, że zginął śmiercią męczeńską, ginąc od kul faszystowskich w obozie w Szubinie, gdyż sam przeczytałem ogłoszenie niemieckie. Spotkałem się z nim 9 stycznia 1959 r. i także było zdziwienie, gdy ujrzałem żywego nieboszczyka (...)* – poświadczał Michał Słomkowski.

Po wojnie

Po wojnie opowiadał o egzekucji i szczęśliwym ocaleniu. Uczestniczył w wiecach, spotykał się z mieszkańcami regionu. Do funkcjonującej przy szubińskim Domu Harcerza izby pamięci przekazał kopię swojego zeznania z 1945 r. w którym szczegółowo opisał swoje wojenne losy. Zeznania te sprawiły, że Losy przemawiał z mównicy na uroczystości związanej z ekshumacją rozstrzelanych Pola-



Stanisław Losy w 1959 roku nad „własną mogiłą”.

Fot. w zbiorach Muzeum Regionalnego im. Zenona Erdmanna w Szubinie

udał się do ochronki prowadzonej przez siostry zakonne. Tam siostra Regina (Helena Fikus) udzieliła mu pierwszej pomocy. Po nałożeniu opatrunków około godziny 19.00

Szedł całą noc i kolejną część dnia, by po 18 godzinach dotrzeć do Młodocina. Kolejno wędrowka wiodła do Wiktorowa, Kołodziejewa, Inowrocława. Tam wyleczył się z ran i zdobył

ków w lipcu 1945 r. Zdjęcie stojącego na mównicy Stanisława Losego jest jednym z kilku, które wykonano w czasie uroczystości. Na innym, widzimy szereg małych trumienek, do których złożono ekshumowane prochy zamordowanych w czasie okupacji Polaków, zapewne wśród tłumu jest także niedoszła ofiara, Stanisław Losy.

Stanisław Losy uczestniczył także w uroczystości odsłonięcia pomnika na byłym cmentarzu żydowskim. We wrześniu 1959 r. stał w miejscu, gdzie kilkadziesiąt lat wcześniej stoczył walkę na śmierć i życie, gdy przyszło mu pod osłoną nocy wygrzebywać się z masowej mogiły. Ze wzruszeniem, głosem drżącym - jak wspominał założyciel i patron szubińskiego muzeum Zenon Erdmann - Stanisław Losy opowiadał zgromadzonym o swoich przeżyciach. W zbiorach muzeum zachowało się jedno zdjęcie przedstawiające bohatera tej opowieści nad swoim niedoszłym grobem.

Zeznanie grabarza

1 sierpnia 1945 r. na przesłuchaniu przed Sądem Grodzkim w Łabiszynie stanął urodzony 29 lipca 1867 r. ewangelik Rudolf Domke. Był synem Karola i Augusty z domu Scheller. Przed wojną pracował jako robotnik i grabarz na cmentarzu żydowskim w Szubinie. W chwili przesłuchania miał 5 dorosłych dzieci w wieku od 32 do 36 lat. Jego syn Artur Domke podczas okupacji był dozorcą obozu w Szubinie. Mieszkali niedaleko cmentarza, w domu przy ul. Kcyńskiej. Według świadectwa Stanisława Losego grabarz Domke uczestniczył w masowych egzekucjach na cmentarzu żydowskim w Szubinie, a Rudolf Domke zeznał i nie przyznawał się do winy:

Podczas okupacji a także przed wojną mieszkalem stale przy cmentarzu żydowskim w Szubinie. Na cmentarzu żydowskim Niemcy przeprowadzali bardzo często egzekucje przez rozstrzelanie Polaków. Kto dokonywał zastrzeleń tego nie mogę powiedzieć. Wiem jedynie, że podczas tej egzekucji strzelał też pochodzący z Szubina Tonn, którego imienia nie znam. Tonn był dozorcą więziennym w Szubinie, a później został przeniesiony do Inowrocławia. Gdzie obecnie przebywa, tego nie wiem. Egzekucji ze swego

domu nie obserwowałem, gdyż odbywały się one pod osłoną krzaków. Zresztą nie wolno było ani wychodzić i przyglądać się egzekucji, ani z okna patrzeć na nią. Zwłoki zamordowanych Polaków zakopywali internowani Polacy. Sam w zagrzebywaniu Polaków w dołach na cmentarzu żydowskim nie brałem udziału, gdyż postęunki obstawiały to miejsce i nie dopuszczaly nikogo.

Jakkolwiek nie można było wiedzieć sposobu dokonywania egzekucji to jednak z daleka przypatrywałem się temu i widziałem, że skazańcy znajdowali się w dole gdy do nich strzelano. Nigdy trupów nie zakopywałem w tych dołach. Pewnego razu po takiej egzekucji znajdowałem się przy swojej pompie przy moim domu dla nabrania wody do wiadra i wtedy słyszałem, że jakiś zastrzelony Polak wołał z dołu, w którym leżał o pomoc w wyratowaniu go. Nie pobiegłem na ratunek, gdyż było to wieczorem i ciemno. Odległość pompy od tego dołu była dość znaczna około 100 metrów. Mimo to słyszałem dokładnie, że to woła ktoś z zastrzelonych z tego dołu, bo dół leżał naprzeciwko pompy a przy dole niktogo nie było. Do pomocy nie pobiegłem, gdyż się bałem. Później gdy już byłem w pokoju swoim padł strzał. Co ten strzał miał oznaczać tego nie wiem. Następnego dnia opowiadał mi jeden z Niemców z komendantury, nieznanego mi nazwiska, że z komendantury wysłano go do owego dołu, aby szpadłem zabił tego odzywającego się z dołu Polaka. Ów Niemiec mi opowiadał wówczas, że na komendanturze dostał takie polecenie. [...]

Ja się pytałem tego Niemca, czy ten Polak żył, na co otrzymałem odpowiedź że tak. Rozmowa ta została przerwana na skutek przybycia innych ludzi do nas. Powtarzam, że słyszałem wołanie postrzelonego z dołu tylko raz w owym dniu kiedy wody nabierałem z pompy. Wołanie drugiego postrzelonego w tym samym dniu o pomoc, nie słyszałem. Czy zasypywali zwłoki. Wiem o tym dobrze, że tak było przy wszystkich egzekucjach, gdyż widziałem to ze swoich okien. Zawsze dwóch Niemców dokonywało rozstrzeliwań Polaków, a po tym przychodził po powierzchow-

nym przysypaniu zwłok piaskiem niemiecki oficer. Ja osobiście tylko raz byłem zawołany przez oficera niemieckiego do splanowania dołu, w którym leżeli zastrzeleni Polacy. Oficerów nie znałem, a w szczególności nie znałem majora Schnucka ani kapitana Olbricha. Nigdy żaden oficer nie zwrócił się do mnie słowami: [...] Ojczulku postaraj się o to, żeby do jutra rana wszystko było pięknie gładkie, a jeśli ktoś łeb podniesie, to zaraz go trach szpadłem. Przeczę również, że wszedłem do dołu, w którym leżeli rozstrzelani Polacy w celu odarcia ich z odzieży i obuwia, że wzywałem dwóch dalszych Niemców do pomocy w tej czynności, że po odezwaniu się dwóch postrzelonych o pomoc postanowiliśmy posłać po karabin i że przyniesionym karabinem przy świetle lampki kieszonkowej dwóch postrzelonych Polaków w tym dole zostało zastrzelonych przez trzech pozostałych Niemców przy grobie.

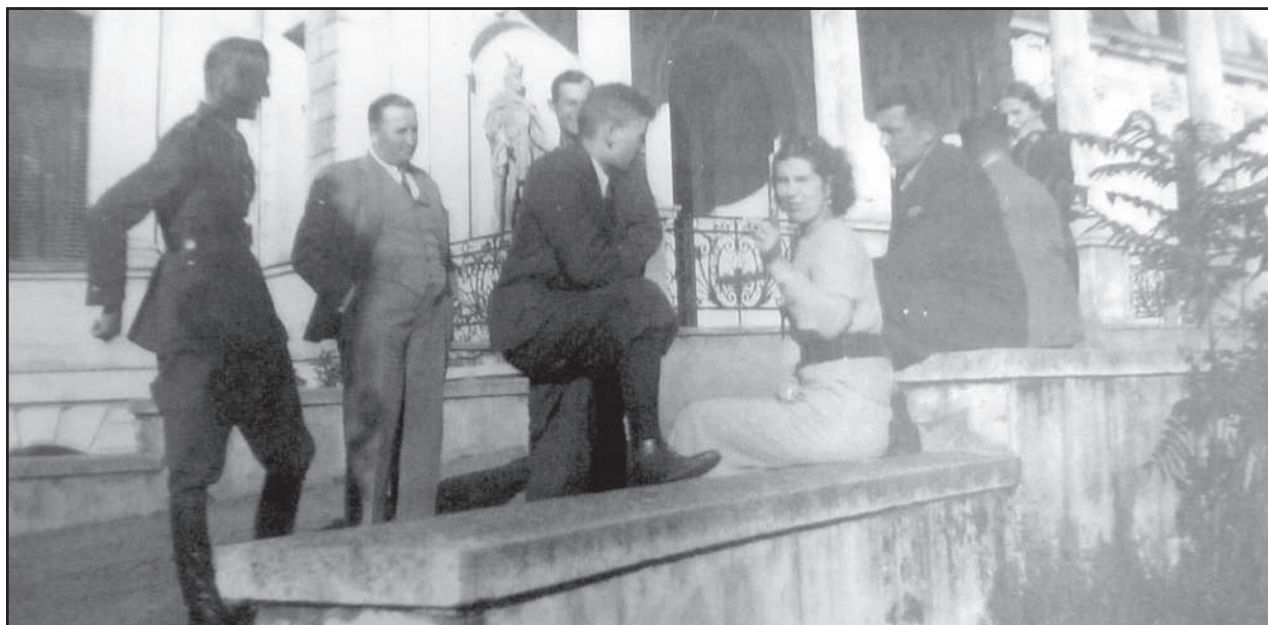
*

W dokumentacji kombatanckiej Stanisława Losego nie brak zeznań świadków, którzy pomagali mu w ucieczce. Szczególne jest zeznanie siostry zakonnej Reginy, która oświadczyła:

(...) Losy Stanisław przebywał w obozie w szubińskim i został z końcem października 1939 r. rozstrzelany, jednakże strzały nie były śmiertelne, gdyż oswoił się z mogiły i z krwawiącymi ranami przybył do mnie na ul. Winnica w Szubinie, gdzie udzieliłam mu pierwszej pomocy przez obmycie ran, a mianowicie przestrzelonej szyji, lewego ucha oraz prawego przedramienia, poczem nałożyłam opatrunki i prosiłam aby z obawy przed Niemcami ulotnił się.

Zbiory Muzeum Ziemi Szubińskiej im. Zenona Erdmanna, dotyczące postaci powstańca wielkopolskiego Stanisława Losego nie wyczerpują tematu związanego z tą postacią jednak stanowią materiał wyjściowy do dalszych badań.

KAMILA CZECHOWSKA



Przed pałacem w Błociszewie w 1935 r. Trzeci z prawej gen. Stefan Rowecki, piąty Wojciech Kęszycki.
Fot. ze zbiorów Wojciecha Kęszyckiego

Adiutant Łubieńskiego

U porucznika „Mewy” wytrzymałem jeszcze kilka miesięcy. Z lasu wyszedłem w czerwcu 1945 r. Wtedy skończyła się dla mnie wojna – wspomina Wojciech Kęszycki.

Jeszcze dobrze nie wybrzmiały echa walk kampanii wrześniowej, kiedy w Wielkopolsce zaczęły się masowe aresztowania, egzekucje i wysiedlenia. Potomkowie starego ziemiańskiego rodu Kęszyckich zostali zmuszeni do opuszczenia rodzinnego majątku Błociszewo 11 listopada 1939 roku.

- Z siostrą Józefą i bratem Stefanem wyjechaliśmy do Warszawy, zamieszkaliśmy u naszej siostry Marii. Tam koledzy ze szkoły morskiej w Gdyni wciągnęli mnie w konspirację, zostałem przydzielony do wywiadu. Z kolegą przeszliśmy tygodniowy kurs, który prowadził przedwojenny „dwójkarz”. Dostaliśmy rozkaz chodzenia za niemieckimi żołnierzami. Spisywaliśmy z ich naramienników, z

którego pułku pochodzą, obserwowaliśmy także samochody, spisując ich numery rejestracyjne. Takich jak my było więcej, dzięki temu dowództwo posiadało rozeznanie o jednostkach przebywających w Warszawie lub przez nią przechodzących – wspomina Wojciech Kęszycki z Poznania.

Przed plutonem egzekucyjnym

Starsze rodzeństwo Wojciecha Kęszyckiego także działało w konspiracji. Cała trójka należała do organizacji Tajna Armia Polska. Jednym z jej organizatorów był rotmistrz Witold Pilecki, który po aresztowaniach członków TAP i przewiezieniu ich do KL Auschwitz, dał się dobrowolnie zamknąć

w obozie, by zorientować się w możliwości zorganizowania ich ucieczki. Rok 1940 był pechowy i dla rodzeństwa Kęszyckich, i dla organizacji. Wiosną Niemcy zgarnęli Stefana. Wpadł w czasie nalotu na studencki lokal „Bodega” na Nowym Świecie. Został wywieziony do obozu w Mauthausen-Gusen. Tam po pół roku zmarł.

Józefa była łączniczką i kolporterką podziemnej prasy. Pracowała także w drukarni, w której wydawano podziemną gazetę „Znak”. Po dekonspiracji i fali aresztowań Józefa z siostrą Marią zamieszkały w Komorowie, licząc, że gestapo zgubi ich ślad. Pewnie uniknęłyby wpadki, gdyby nie jej sprawozdanie znalezione u jednego z konspiratorów. Heroicznie wzięła na siebie całą odpowiedzialność, twierdząc, że pozostałe dziewczyny nie miały z tym nic wspólnego. Po ciężkim śledztwie, skazano ją na śmierć. Na wykonanie wyroku czekała w obozie w Ravensbrück.

- Józia przeżyła tam dwa lata, zaczęła mieć nadzieję, że o niej zapomnieli. Ale aparat niemiecki nie zapominał. 16 lipca 1942 roku do obozu przyjechał pluton egzekucyjny, który ją i jeszcze dwie przyjaciółki rozstrzelał. W Ravensbrück więziono także naszą ciotkę Elżbę Cetkowską, pochodzącą z Karczewa, matkę Ponikiewskiego, adiutanta Sikorskiego. Świetnie mówiła po niemiecku, więc była blokową. Akurat odbywał się wieczorny apel, kiedy te trzy dziewczyny prowadzono na śmierć. Siostra przechodząc zdołała jeszcze szepnąć ciotce: - Patrz wieczorem w niebo, będę ci mrugać z Wielkiej Niedźwiedzicy. Potem usłyszała salwę...

Egzamin z podpalania

Po aresztowaniu rodzeństwa dowódca rozkazał Wojciechowi opuścić Warszawę. Oficjalnie zatrudniony jako rządca w majątku Słocina, należącym do Chłapowskich, w rzeczywistości kontynuował działalność konspiracyjną – był szyfrantem, gońcem, zapewniał mieszkanie ukrywającym się. W 1942 r. w Rzeszowie ukończył akowską podchorążówkę. Na tym terenie był to pierwszy kurs tego typu dla żołnierzy AK. Jego instruktorem był Łukasz Ciepłiński, ps. „Pług”, Wielkopolek z Kwilcza.

- Egzamin praktyczny to nie były żarty, ani zabawa. Otrzymaliśmy zadanie podpalenia tartaku w Staroniwie – dzielnicy Rzeszowa. 22 kwietnia około północy, zapamiętałem, bo to był dzień przed moimi imieninami, we czterech, każdy z dwiema butelkami z benzyną poszliśmy na akcję. Przez wysoki drewniany płot dostaliśmy się do środka. Dowódca ustawił nas wzdłuż hali tartaku, dał komendę: Ognia! Rzucił butelki, a my za nim. Jedna, druga zapaliły się, reszta nic. Z powrotem już nie górą, tylko wialiśmy przez dziury w płocie, aż się za nami kurzyło. Młody byłem, głupi, myślałem zadowolony, że mam cenzus, będę oficerem, to matura już mi niepotrzebna. Po wojnie w Poznaniu i tak musiałem ją zdać.

Młody podchorąży wrócił do Słociny i robił swoje. Kilka razy woził inspektora Ciepłińskiego w wyznaczone miejsce. - Był małomówny i szalenie pobożny. Mieszkał na plebanii, codziennie chodził do kościoła z wielkim mszałem do nabożeństwa. Ludzie myśleli, że jest księdzem.

Śmierć dowódcy

W maju 1944 r. Wojciech Kęszycki został przeniesiony do Zassowa pod Dębicą i mianowany adiutantem komendanta Placówki AK Zassów Alfreda Łubieńskiego, ps. „Iwo”. 24 godziny na służbie; rozwoził po okolicznych wsiach meldunki, rozkazy, jeździł z Łubieńskim na teren zrzutów broni. Latem 1944 r. rozpoczęła się akcja „Burza”. Dowódca i jego adiutant poszli do lasu. W Gołęczynie doszło do jednej z największych bitew akcji „Burza” w południowo-wschodniej Polsce. Obie strony liczyły rannych i zabitych. Alfreda Łubieńskiego, rannego w nogę, przewieziono do szpitala polowego. Adiutant i dowódca zostali rozdzieleni. Rana okazała się niegroźna, poza tym Łubieński uparł się, że nie wyjdzie z lasu, bo nie może spuścić z oka ukrytej broni. Ze swoim przyjacielem wykopali w lesie ziemiankę, w której mieszkali i strzegli zakopanego arsenału. Jednak Niemcy wkrótce ich namierzyli, wywiązała się strzelanina, w

której obaj zginęli. Po „Burzy” oddziały akowskie z tego terenu, w tym Kęszyckiego, rozwiązano.

- Z lasu wyszedłem około października, znalazłem się w Krakowie. To był dopiero szok. Po mieście normalnie kursowały tramwaje, jeździły dorożki, ludzie chodzili po chodnikach. A ja prosto z lasu, zawszawiony, z brodą. Dziwnie się czułem. W dodatku przyszło mi tłumaczyć się z życia. Odnalazłem żonę Alfreda Łubieńskiego, poszedłem ją odwiedzić. Otworzyła mi drzwi i powiedziała: To pan żyje? Była przekonana, że ja, jego adiutant zginąłem razem ze swoim dowódcą. Opowiedziałem jak było. Łubieńskiego pochowano w rodzinnym grobowcu z Zassowie.

Na tajnych kompletach

Z Krakowa Wojciech Kęszycki pojechał do siostry Janiny Szumanowej do Zakopanego. Zapisał się na tajne kom- ➔



Z rodzeństwem i opiekunkami, Wojciech Kęszycki piąty od góry.

Fot. ze zbiorów Wojciecha Kęszyckiego

plety, w jego grupie uczył się m.in. Adam Hejmowski, syn mecenasa Hejmowskiego, który bronił poznańskich robotników po Czerwcu '56.

- Mąż siostry, Ziemowit był malarzem, przyjmowali u siebie aktorów, pisarzy, którzy zjechali do Zakopanego po Powstaniu Warszawskim. Przysłuchując się ich intelektualnym dyskusjom doszedłem do wniosku, że tak właściwie, to ja nie mam nic do powiedzenia. Stąd decyzja o nauce.

W kwietniu miał przystąpić do matury, ale w lutym przyłączył się do Hejmowskich, którzy wyjeżdżali do Krakowa. Nie miał żadnego bagażu, pojechał jak stał. Pewność, że za pół litra wódki zabiorą się z Sowietami do Krakowa, stopniowo się rozplywała, aż wyparowała koło Nowego Targu. Nie zamierzali się cofać. W dzień szli, nocowali u chłopów. W Krakowie rozłą-

czyli się. Wojciech udał się do Rzeszowa, czekała tam na niego dziewczyna.

Potyczka z ubekami

Po drodze spotkał kolegów z lasu. Jechali do Przeworska, gdzie działał jeszcze oddział porucznika Jana Totha, ps. „Mewa”, który bronił tamtejszych mieszkańców przed Ukraińcami. Był marzec 1945 roku. Oficjalnie Armia Krajowa została rozwiązana, ale oni ciągle uważali się za akowców. Z Sieniawy, gdzie mieli swoją kwaterę, robili wypadki przez San na ukraińską stronę. Połączkowo oddział składał się z kilkunastu żołnierzy, ale ciągle dochodzili nowi, m.in. dezercerzy z armii Berlinga i wkrótce rozrósł do około dwustu.

20 marca porucznik „Mewa” otrzymał informację, że UB i NKWD będą przewozić aresztantów z Przeworska do Jarosławia. Postanowił urządzić za-

sadzkę i odbić więźniów.

- Pojechaliśmy na trzech wozach. Na zakręcie zjechaliśmy się z ubowcami. Jednocześnie i my, i oni zeskakiwaliśmy z wozów. Nasi pobiegli pod górkę w stronę lasu, oni w przeciwną stronę do rowu, a więźniowie, jak zobaczyli co się dzieje, w nogi. Nosilem na plecach karabin maszynowy, ciężka cholera, pewnie z 10 kilo ważył. Odbiłem z nim na prawe skrzydło, jak sobie życzył dowódca, strzelałem aż huczało. A nasz dowódca, który był człowiekiem niesłychanej od-

wagi, nigdy nie kładł się na ziemię, chodził i rozkazywał. Nagle słyszę rozkaz: - Skokami do tyłu. Miałem pseudonim „Monokl”. On do mnie: - „Monokl” – ostaniać cofających się. No to jak nie zaczę znowu pruć: ciach, ciach, ciach. Tak się starałem, że konia ustrzeliłem. Czy zabiłem jakiegoś ubowca, wątpię, ale biedny koń leżał na drodze. Lufa karabinu to mi się tak rozgrzała, że jak potem go niosłem na plecach, to miałem bąble od oparzenia.

Pożegnanie z bronią

Więżniowie uciekli, kilku ubeków odniosło rany, czterech ludzi „Mewy” zostało na drodze. Wszyscy zginęli przy stanowisku jednego z karabinów maszynowych, które miały wadę w postaci za wysokiej podpórki, więc strzelający musiał się bardzo odchyłać.

- Akcja rozegrała się koło południa, potem odbiliśmy do jakiejś wsi, a po zmroku wróciliśmy po naszych. A tam okropny widok. Miejscowi pościągali im buty, zabrali płaszcze; leżeli boski prawie nadzy. Przewieźliśmy ich nocą do Sieniawy i złożyliśmy w podziemiach kościoła. Pogrzeb odbył się następnej nocy, chowaliśmy ich po kryjomu jak złoczyńców, wszystkich złożono do wspólnej mogiły. Księżdz, który towarzyszył naszym chłopcom w ostatniej drodze, potem ubecja zamknęła. Dzisiaj mają ładny pomnik na cmentarzu w Sieniawie. Pojechałem zapalić im znicz, zostawiłem porcelanowe plakietki z napisem „żołnierz AK”. U porucznika „Mewy” wytrzymałem jeszcze kilka miesięcy. Z lasu wyszedłem w czerwcu 1945 roku. Wtedy skończyła się dla mnie wojna.

TERESA MASŁOWSKA



Bohater artykułu w siedzibie Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, którego był prezesem.

Fot. Teresa Masłowska

Wojciech Kęszycki urodził się 1922 r. w Błociszewie. Pochodzi z ziemiańskiego rodu Kęszyckich, herbu Nałęcz, którzy od XVIII w. byli właścicielami Błociszewa. Ojciec Daniel Kęszycki (1884-1936) był kapitanem marynarki handlowej, uczestnikiem powstań wielkopolskiego i śląskich, konsulem RP w Opolu. Z Anglii, gdzie się urodził, do Błociszewa ściągnęła go jego babka Florentyna z Chłapowskich z Bonikowa, bratanica generała Dezyderego. Żona Daniela Kęszyckiego Julia z Ponikiewskich zmarła w wyniku wypadku kolejowego, kiedy Wojciech miał zaledwie rok. W majątku w Błociszewie gościli Wojciech Korfanty, ojciec chrzestny Wojciecha, generał Stefan Rowecki, późniejszy komendant AK; generał brygady WP Sergiusz Zahorski, komendant garnizonu śremskiego ppłk Wilhelm Popelka, starosta śremski Jan Krykiewicz, dr Seweryn Matuszewski, rozstrzelany w publicznej egzekucji na rynku w Śremie w październiku 1939 r. i wielu innych. Po śmierci żony Daniel Kęszycki wycofał się z polityki i zajął prowadzeniem majątku i wychowaniem ośmiorga dzieci: pięciu córek i trzech synów. Najstarsza Maria została doktorem medycyny, wyszła za Lecha Buethnera Zawadzkiego, który zginął w Charkowie w maju 1940 r. Helena ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Poznańskim, została redaktorem naczelnym wydawnictwa „Arkady” oraz tłumaczką z języka francuskiego i włoskiego. Elżbieta ukończyła Szkołę Gospodarczą SS. Urszulanek w Pniewach, wyszła za męża za Karola Kęszyckiego z linii karczewskiej. Janina była doktorem historii. Zaledwie 22-letnia ukochana siostra Wojciecha Józefa, maturzystka gimnazjum Sacre Coeur w Polskiej Wsi koło Gniezna, została rozstrzelana przez Niemców w Ravensbrück. Najstarszy syn Antoni, podchorąży 29. Pułku Piechoty w Ostrowie Wlkp. zginął w kampanii wrześniowej. Rodzina nigdy nie dowiedziała się kiedy i w jakich okolicznościach. Stefan, który miał odziedziczyć Błociszewo, zmarł w obozie koncentracyjnym w Mauthausen-Gusen. Wojciech Kęszycki nie tylko zdał maturę, ale także ukończył Akademię Handlową. Przez wiele lat pracował w Narodowym Banku Polskim. Jest członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu „Wielkopolska” w Poznaniu.



Autorka rozmawia z Matką Generalną Anną Marią Sikorską.

Fot. archiwum

Śladami siostry Joanny (I)

Przez Krzyż – do Nieba.

Takie jest pozdrowienie laskowskich sióstr, świeckich pracowników i przyjaciół Lasek

Laski z Ziemią Kościańską łączą nazwiska takich osób, jak: siostra zakonna Joanna Lossow z Gryżyny, Michał Żółtowski z Czacza czy Zofia Morawska z Turwi, prawnuczka gen. Dezyderego Chłapowskiego, którego duży portret wisi na honorowym miejscu w Domu Przyjaciół Niewidomych w Laskach. Moim zamiarem jest przedstawienie tej pierwszej – siostry Joanny Franciszki Służebnicy Krzyża, niezwykle zasłużonej dla sprawy ekumenizmu. Jej prekursorska działalność na rzecz jedności chrześcijan jest wciąż zbyt mało znana. Ale opowiadanie o którejkolwiek z tych osób byłoby niepełne bez przedstawienia środowiska Lasek i ich złożoności, klimatu, historii... A więc najpierw o Laskach pod Warszawą, które były domem s. Joanny przez większą część życia.

Kiedy mówimy Laski, oznacza to Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi (TONO), Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża (FSK) i Ośrodek Szkolno-Wychowawczy z całym komplek-

sem szkół i internatów. Od początku założycielka Matka Czacka używała pojęcia „Dzieło Lasek”, co formułowało wewnętrzną spójność dla jednego celu: pracy dla niewidomych. Od początku istniała też swego ro-

dzaju współzależność w całym Dziele; to nadawało mu specjalny charakter i szczególny klimat, a wszystko w perspektywie Krzyża. Dzięki twórcom, budowniczym Lasek, ➤

▶ ludziom wielkiego formatu, o niezwykłych biografjach, w całą historię Lasek wpisana jest specyficzna duchowość.

„Laski to ważna karta w historii kultury i katolicyzmu w Polsce. Stąd promieniowała Chrystusowa miłość – przez Krzyż, przez żywą modlitwę, przez tożsamość uzasadniającą wiarę, przez życie liturgią, przez przykład wspólnoty niewidomych, zakonnic i świeckich współpracowników, przez miłość wyrażoną otwartością, życzliwością, przyjaźnią i szacunkiem dla każdego człowieka”.(TOnO)

Droga do Lasek

Wiedzieć co nieco o Laskach, to jednak nie to samo, co poznać je z bliska. Gdy zaistniała możliwość odwiedzenia Lasek, z decyzją nie zwlekałam zbyt długo. Na współtowarzysza podróży zgłosiła się Hanka, moja córka; później jej postanowienie okazało się bezcenne. Wspólnie zaplanowałyśmy szczegóły tej wyprawy, z dodatkowym poznaniem okolic Lasek. Tra-

sa podróży wydawała się dość prosta – kierunek Warszawa, w Sochaczewie na Laski. Pomijając wielokilometrowe remonty dróg, do Sochaczewa wszystko szło zgodnie z planem. Co do dalszej trasy – byliśmy w błędzie; nie wszędzie kierowcę „zaprowadzą” drogowaskazy. Zaraz przy wyjeździe z Sochaczewa pomyliłyśmy kierunek, bo tutaj drogi są, niestety, bardzo skąpo oznakowane. Ale nie ma tego złego... Spozobrzyliśmy, że jesteśmy przed okazałym kompleksem zabudowań, pięknie wkomponowanych w mały park – Dom Bankietowy. Tak wspaniałego wystroju i tak zadbanego, gustownie zagospodarowanego otoczenia nie powstydziliby się żaden pałac. I to na peryferiach miasta!

Mijamy Żelazową Wolę; obiecujemy sobie, że wstąpimy tutaj jadąc z powrotem. Do Lasek mamy około 40 kilometrów, szosa umyka spod kół. Początkowo jest to prosta droga. Po przejechaniu jej części rozpoczynają się trudności. Cały czas towarzyszy nam obawa czy jedziemy we właściwym kierunku. Co chwilę stajemy, pytamy i słyszymy: - Na krzyżówce

w lewo, potem w prawo, jeszcze raz w lewo... Poza tym, przy tej trasie bardzo gęsto rozmieszczone są większe i mniejsze miejscowości: Chodaków, Żelazowa Wola, Kampinos, Leszno, Borzęcin, Koczargi, Babice, Klau-dyn, to tylko niektóre, naliczyliśmy ich 27. Ale ta proza życia nie potrafiła przesłonić tego, co dostarczyła w tym czasie piękna pogoda i wspaniała przyroda. Wreszcie Izabelin, oczami wyobraźni widzimy już Laski. Niepozorna miejscowość. Szukamy ulicy Brzozowej; przy niej położone jest małe osiedle. Sprawia wrażenie niedużego miasteczka – kilkadziesiąt laskowskich zabudowań.

Bez przeszkód mijamy szeroko otwartą bramę. Jedziemy przez typowe, duże, gospodarze podwórce z równie typowymi, gospodarskimi wozami i maszynami, które wróciły z pola, bo gospodarzy się tutaj na dość dużym obszarze. Osiedle ma ponad 70 hektarów, a część z tego, to ziemia uprawna. Minąwszy podwórce, wjeżdżamy w niezbyt szerokie alejki, które prowadzą pod Dom Rekolekcyjny. Słońce zachodzi, kładąc swe ostatnie promienie na mu-



Dom rekolekcyjny w Laskach.

Fot. archiwum

rach budynku, a długie cienie na chodnikach; zaraz ta czerwona tarcza schowa się za wierzchołkami drzew i to wszystko zniknie.

O tej porze dnia większość sióstr, a więc i Matka Generalna, i Przełożona Domu są w kaplicy na modlitwie. Wita nas miło świecka wolontariuszka, zorientowana, że mamy przyjechać. Dostajemy po dwa klucze: jeden od pokoju, drugi od drzwi wejściowych; te zamyka się o godzinie 20.00. Szybko nadchodzi Przełożona Domu, s. Bogumiła i prowadzi na kwatere. Lokuje nas na piętrze, w dwóch skromnych, ale przytulnych pokojach z jedną łazienką, połączonych korytarzykiem z oddzielnym wejściem. W każdym pokoju są dwa łóżka, dwie nocne szafki, stół, dwa krzesła i wieszak na ubrania. Wystroju dopełnia krzyż, wiszący naprzeciw wejścia i lampka na stole, rzucająca światło na „Pismo święte”, leżące obok niej. Każdy pokój ma swojego patrona; nasze mają św. Aleksandra i św. Krzysztofa. Znosimy bagaże, rozlokowujemy się.

Obsługę Domu stanowią siostry zakonne i osoby świeckie – wolontariuszki. Jedna z nich za chwilę zaprasza nas na kolację, którą tutaj jada się o godzinie 18.00. Po kolacji spotykamy się z Matką Generalną Anną Marią Sikorską w Pokoju Ojca, albo pokoju ks. Tadeusza Fedorowicza, który kiedyś w nim mieszkał. Czekalam z zainteresowaniem na to spotkanie; samo powitanie zostanie niezapomnianym momentem. Matka Anna Maria wita nas jak spokrewnione osoby, a miałyśmy jedynie kontakt korespondencyjny. Ustalamy plan na następny dzień, który zapowiada się bardzo wypełniony. Mam poznać całe osiedle i pracę sióstr; krótki pobyt stwarza jednak pewne ograniczenia. Po powrocie do pokoju siedzimy zauroczone i rozmyślamy: Przyjęto nas tak serdecznie, jak byśmy należały do tej samej rodziny. To szczęście, że od pierwszych chwil mogłyśmy poznać tak wspaiałych ludzi. Jesteśmy chyba w jakimś zupełnie innym świecie.

Zapowiada się pracowity wieczór. Matka Anna Maria wypożycza mi kilka książek o ludziach Lasek, ale trudno się skupić na lekturze, bo rozszalała się gwałtowna burza. Błyskawicami

ce raz po raz rozświetlają leśne osiedle i rozwidniają niebo. Zrywa się huragan, szarpie wierzchołkami drzew, które rosną tutaj niemal wszędzie. Łamią się gałęzie. Atakuje nas rzeźwistość. Hanka przerywa przygotowanie dyktafonu, aparatów fotograficznych i biegnie odprowadzić samochód na główny parking, przy którym rosną tylko niskie drzewa, tu może spaść coś na dach samochodu.

Leśny cmentarz

Nazajutrz dzień wstaje trochę pochmurny i niezbyt gorący, zwłaszcza rankiem. Matka Anna Maria ofiarowuje się na przewodnika. Nasze Łaski zaczynają się na tutejszym cmentarzu. Prowadzi do niego leśna aleja, z daleka widać wysoki, brzozywy krzyż, obejmujący ramionami groby założycieli Dzieła Lasek. Na grobach małe tablice: Matka Elżbieta Róża Czacka, ks. Antoni Marylski, Ojciec Władysław Kornilowicz. Grób Ojca jest tu tylko symboliczny, bo w związku z rozpoczętym procesem beatyfikacyjnym, doczesne szczątki przeniesiono do kościoła św. Marcina przy Piwnej w Warszawie.

Różne są cmentarze. Wielkie cmentarzyska, marmurowe płyty, wysokie krzyże, cenne rzeźby, obszerne grobowce; wiejskie miejsca pochówku, proste groby, małe alejki, brzozy i świerki, polne kwiaty; cmentarze wojenne, zdyscyplinowane w szeregach mogiły. Ten ma coś z każdego z nich. Leśna nekropolia. Jest tak samo śladem minionego życia, tak samo kryje tajemnice istnienia i znaki upływającego czasu – świadectwo przeszłości, a jest miejscem zupełnie szczególnym. Cmentarz z ziemnymi mogiłami, otoczonymi polnymi kamieniami, gdzie rytm krzyży wpisuje się w leśny krajobraz z wysokimi sosnami, szumiącymi brzożami, dębami, klonami, akacjami i wszechobecnym bluszczem; to miejsce spoczynku sióstr, świeckich, niewidomych, pracowników, wychowanków i przyjaciół Lasek. Ale też na skromnych płytach nagrobnych, pod żeliwnymi czy kamiennymi krzyżami, wśród których przeważają proste, drewniane, sporo nazwisk sławnych, wielkich ludzi:

profesorów, artystów, pisarzy, poetów, aktorów, polityków, znanych lekarzy, księży, żołnierzy. W zadumie, ściszym głosem odczytujemy: Jerzy Zawieyski, Marian Brandys, Zygmunt Kubiak, Jan Lechoń, Antoni Słonimski, jego żona Janina Konarska-Słonimska, Halina Mikołajska-Brandys, Aleksander Małachowski, Ewa Mazowiecka i wiele innych znanych nazwisk. Nurtuje mnie wiele pytań, ale ponad wszystkie, to jedno: Co skłoniło, na przykład, znakomitego poetę do tego, aby chcieć być pochowanym w Laskach, a nie w Alei Zasłużonych na Powązkach? Wśród grobów laskowskich sióstr odnajdujemy grób s. Joanny Losow z Gryżyny. Na krzyżu tabliczka z napisem rozpoczynającym się od słów: „*Aby byli jedno...*”

Laskowski zakładowy cmentarz powiększono już trzykrotnie. Dziś prawie hektarowy, mieści mogiły blisko tysiąca zmarłych, zajmuje północno-wschodnią część założenia, przylega do szosy sierakowskiej. To historia Lasek. Nie da się rozdzielić historii cmentarza od historii Dzieła Matki Czackiej, bo stanowi ona źródło poznania środowiska tego miejsca. A poza tym, laskowska nekropolia, to nie tylko wspólnota zmarłych, to także wspólnota żyjących, skupionych wokół tych, którzy wcześniej odeszli. Wraz z Matką Anną Marią chodzimy w ciszy po wypielęgnowanych alejkach, fotografujemy mogiły i napisy. Uwagę zwracają epitafia: „*Błogosławieni, którzy w Panu umierają*”, „*Szła przez krzyż do nieba*” i im podobne. Przystajemy przy grobach, przypominamy biografie tych, którzy tu znaleźli miejsce wiecznego spoczynku. Spotykamy siostrę Rut. Też odwiedziła cmentarz i chętnie dodaje swoją wiedzę o niektórych pochowanych tutaj zmarłych. Dużo później dowiem się, że s. Rut Wosiek jest autorką wielu artykułów, książek lub rozdziałów w zbiorowych wydaniach, na temat historii Dzieła, Matki Czackiej i ludzi Lasek. Napisała je tutaj w Laskach, bo jest w zakonie blisko 50 lat.(cdn.)

TERESA WIŚNIEWSKA



Schody Hiszpańskie w Rzymie są dosłownie oblepione turystami.

Fot. Tadeusz Jąder

Włoskie peregrynacje

Tam, gdzie dojrzewa cytryna...

Jest w Europie kraj obfitujący w niezwykle bogatą kulturę, historię i przyrodę, który upodobali sobie wielcy Polacy, zwłaszcza uczeni i ludzie pióra. To Italia. Zdążają tam również liczni współcześni, choć niekoniecznie równie wybitni, za to ciekawi korzeni swej cywilizacji, miłośnicy sztuki i historii, wyrafinowanej kuchni i wyśmakowanego stylu, a także zwyczajni turyści, na wypoczynek nad lazorowym morzem i na narciarskie trasy.



Benedykt XVI przejeżdża w papamobile wśród wiernych.

Kawałek Włoch, po których podróżywałem na przełomie września i października, pozwoliło mi zobaczyć kraj, który niemal wszystko – co tylko dusza zapagnie i stan finansów pozwoli – może zaproponować. Wszystko zostało już po wielokroć opisane. Relacji z podróży do Włoch, wrażeń i spotkań, są w Polsce nieprzebrane tomy. Trudno więc o coś odkrywczego. Jednak u nas włoska kraina przedstawiana bywa wraz z licznymi, mocno

zakorzenionymi u nas stereotypami, których nie potwierdzają poczynione obserwacje. Tu wypada wszakże uczynić zastrzeżenie. Najdalej na południe dotarłem do Neapolu i na Capri, tak więc w zasadzie widziałem jedynie północną część kraju, skądinąd najlepiej rozwiniętą gospodarczo i cywilizacyjnie.

Ludzie

Włosi, których spotkaliśmy, są niezwykle pogodni, przyjaźnie nastawieni do przybyszów i otwarci wobec innych nacji. Skorzy do żartów i zabawy. W żadnym razie nie było widać, znanej chociażby z wielu wło-

skich filmów, charakterystycznej dla tej społeczności krzykliwości, czy nawet kłótności. Wprost odwrotnie. Grzeczność, dobre maniery, nawet jakby wrodzona elegancja... Może to napływ rzesz turystów, przetaczających się w niekończących się tłumach, przybyłych nie tylko z Europy, ale z obu Ameryk i Azji. Widoczne są one zwłaszcza w miejscach powszechnie uważanych za godne zobaczenia... Nic dziwnego, że Italię na drugą ojczyznę wybrało wielu czar-

noskórych mieszkańców Afryki. Teraz trudnią się głównie sprzedażą mniej lub bardziej kiczowatych pamiątek, co zdaje się miejscowym nieszczególnie przeszkadzać... Wyrażniej swą niechęć Włosi zgłaszają wobec Albańczyków i Rumunów, którzy w dużej mierze opanowali profesję żebraków i tym się zajmują. Przypisuje się im też inne paskudne przywary... Rumunom, z racji ich wywodzącego się z grupy romańskiej języka, jest bardzo łatwo porozumiewać się i również opanować włoski. Podobnie, jak i my w Czechach, czy na Słowacji, tak też Rumuni we Włoszech nie potrzebują tłumacza.

Przyroda

To, czym Dobry Bóg obdarzył włoską ziemię jest rzeczywiście cudowne. Bujna śródziemnomorska roślinność budząca zrozumiały zachwyt przybyszów z północnej części Europy. Tu łatwiej zrozumieć inspiracje dla włoskiej kuchni, cieszącej się w Polsce tak wielkim uznaniem. Przyprawy rosną tuż za oknem, często nawet na ulicy. Wawrzyny z liściem laurowym (bobkowym), krzewy kaparów, wszechobecne oliwne gaje, winnice, sady z brzoskwiniami, granatami, cytrusami, czy wreszcie wyniosłe pinie. Bez orzeszków pinii Włosi nie mogą się obyć i namiętnie ich używają do nadania odpowiedniego smaku m.in. pesto – popularnym tamtejszym sosom do makaronu. Niewtajemniczonym wyjaśnijmy, że pinia, to gatunek sosny. Włosi od dołu przycinają jej gałęzie, tak, że korona drzewa zyskuje formę odwróconego stożka. Do tego oczywiście ozdobne cyprysy, przepiękne palmy, opuncje i inne kaktusy...

Prawdziwą eksplozję tej nadzwyczajnej roślinności można ujrzeć na wyspie Capri, którą – ze względu na niebotyczne ceny – jedynie możni tego świata wybierają na swe miejsce zamieszkania, podobnie jak to wcześniej czynili rzymscy cesarze: Oktawian August i Tyberiusz. Tam, obok obficie występujących kwiatów we wszystkich możliwych barwach, obok zawieszonych nad Morzem Tyrreńskim ścieżek, willi w słynnych Ogrodach Augusta, na własne oczy można zobaczyć jak kwitnie i dojrzewa cytryna. Capri znane jest również z wyrobu luksusowego likieru na spi-

rytusie (nazywa się on limoncello), wytwarzanego z miejscowych, wielkich i niezbyt kształtnych cytryn. Doskonale likiery powstają tu również z pomarańczy i innych owoców południowych.

Przy drogach, połączenie uprawne przemysłnie zagospodarowanych pól, mocno pofałdowanych (Apeniny!). Wbrew pozorom trudno tam dostrzec jakieś nieużytki. Na plantacjach, od czasu do czasu zauważyć można pługi, kultywatory i inne rolnicze pojazdy na gąsienicach. W zdumienie wbijają nas plantacje drzewek, bardzo podobnych do topoli. Karnie stoją w równych odstępach, starannie odmierzonych rzędach i szeregach. Po co im tyle topoli? Trudno zgadnąć. Może to dobry surowiec, z uwagi na szybkie przyrosty drewna. Inna hipoteza mówi, że z tego drewna pozyskuje się najlepszą celulozę, wykorzystywaną później do produkcji papierów wartościowych, w tym banknotów. Czy to jednak prawda? Nie wiadomo.

Drogi

I to jakie drogi! Piękna, historycznie pierwsza w świecie autostrada (słynna Autostrada Słońca - La Strada del Sole), z Mediolanu do Neapolu przez Rzym, którą jeszcze w okresie przedwojennym budować zaczął sam Duce Mussolini. Dziś sieć autostrad (oczywiście płatnych) gęsto pokrywa kraj. Bezkolizyjnie mkną po niej szybkie pojazdy, choć trudno dostrzec symptomów jakiegoś szaleństwa na drogach. Bardziej już w miastach, gdzie wąskimi uliczkami, niemal potracając przechodniów, na swych jednośladach – skuterach i motorach – mkną mieszkańcy, nie tylko bardzo młodzi. Niektórzy, co może nam wydać się dziwne, w garniturach i pod krawatem. Spotykamy całe roje motocyklistów. Miejskie parkingi zdają się pękać w szwach, gęsto zastawione przez miłośników motorów. I o dziwo! Nikt na nikogo nie trąbi, nie wygraża, nie wymusza pierwszeństwa. Raczej już z uśmiechem proponuje przejazd.

Rzym

To właśnie do Rzymu, nie bez racji nazywanego wiecznym miastem, prowadzą podobno wszystkie drogi. I tymi drogami zdążają zewsząd ogrom-

ne rzesze. Turyści opanowali Rzym. Fontanna di Trevi, okolice Koloseum, Schody Hiszpańskie – są po prostu oblepione ludźmi, tak że trudno zrobić takie ujęcie, aby ujrzeć zabytek w pełnej okazałości. Jest co podziwiać. To całe wieki, które wykształciły światową kulturę, sztukę i naukę. Co tu ukrywać, gdzie nie dotknąć by łopata, tam spod ziemi zaraz wyłania się jakiś wspaniały zabytek. Stąd, jakże potrzebna rozbudowa rzymskiego metra, czy równie pilna budowa nowych parkingów ślimaczy się ogromnie.

Watykan

Być w Rzymie i nie widzieć papieża? Niemożliwe. Państwo Watykańskie ma się pod wodzą Benedykta XVI bardzo dobrze, a każde pojawienie się Ojca Świętego wzbudza niekłamany entuzjazm przybyłych. Msze św. z audiencjami generalnymi dla wiernych odbywają się tu dwa razy w tygodniu – w niedziele i środy. Aby dostać się na Plac Świętego Piotra, trzeba uzbroić się w cierpliwość i odstać swoje dobre pół godziny w kolejce, tyle bowiem trwa dotarcie do bramek, podobnych jak te na lotniskach. Przy nich ochrona dokładnie sprawdza, czy wchodzący nie mają przy sobie niebezpiecznych przedmiotów. Dodatkowo środki bezpieczeństwa wprowadzono po zamachu na Jana Pawła II. Jednak dziś utrudniają płynny ruch wiernych. Byłem świadkiem około dwudziestominutowego przeszukania u gościa, u którego w końcu zostały znalezione i z widocznym gestem tryumfu zaprezentowane obecnym... małe kosmetyczne nożyczki!

Na audiencję generalną zbierają się wielkie tłumy, głównie cudzoziemców, co potwierdzają narodowe flagi. Najwięcej jest polskich, brazylijskich i meksykańskich, ale widoczni są również przybysze np. z Australii, Hiszpanii i Filipin. Miejsca siedzące (około tysiąca) są zarezerwowane dla gości i wcześniej anonsowanych pielgrzymek. Pozostali mogą oglądać ceremonię z pewnej odległości, na



▶ stojąco, z ogromnego placu. Rozstawiono cztery ogromne telebimy, na których doskonale widać co dzieje się przy ołtarzu. Nie wszyscy są zainteresowani uczestnictwem we mszy św. Znaczna część różnorodnego kilkudziesięcioletniego tłumu, zdaje się być zajęta czymś zupełnie innym: rozmowami, jedzeniem kanapek, nawet opalaniem się. Niektórzy korzystają z usług czynnej poczty watykańskiej, skąd można wyekspediować widokówki z oryginalną pieczęcią i takimż watykańskim znaczkiem pocztowym.

Pojawienie się papieża powoduje niebywałą euforię i wiwaty obecnych. Przejazdowi Ojca Świętego towarzyszy wrzawa, radosne okrzyki i piski, całkiem jakby pojawiła się oczekiwana gwiazda filmowa lub któryś z rockowych idoli. Udało się mi zrobić fotkę papieżowi Benedyktowi, chociaż wcale nie byłem w bliskim sektorze! Wyczynu ogromnie zazdrościli mi rodacy, często wyposażeni w dużo lepszy sprzęt.

Papież na zakończenie przemawia w kilku językach, zawsze w tym samym porządku. Po portugalskim, bodajże szóstym w kolejności językiem jest polski, w którym słowa kieruje do Polaków. Można wyjąć przygotowane różańce, które tu, na miejscu, zostaną pobłogosławione. Dobrze jest wcześniej zaopatrzyć się w nie (po niewygodnej cenie), w którymś z licznych sklepików z dewocjonaliami, pilnie wszakże uważając, by sprzedawca nie wcisnął nam tańszych chińskich paciorków, zamiast cenionych włoskich, pachnących, wykonanych z drzewa różanego. Okazuje się, że nawet w tym przypadku produkty made in China zdobywają rynek!

Kryzysu nie widać!

Kryzys? Jaki kryzys? Tutaj, we Włoszech, nie widać go wcale. W miastach liczne luksusowe sklepy i butików znanych, cenionych marek, nie narzekają na brak klientów, choć wcale nie oferują artykułów tanich. Za to wszystko bardzo gustowne, eleganckie, w dobrej i bardzo dobrej klasie. Kawiarnie i restauracje

są w pełni obłożone, w głównej mierze przez Amerykanów i Japończyków, których wszędzie jest niemało.

Tak na marginesie, Włosi są na inwazję turystów bardzo dobrze przygotowani i z przyjezdnych ciągną ile się da. Jeśli nie chcesz stracić połowy majątku na kawę czy posiłek w restauracji, warto wiedzieć, że np. kawa przy barze kosztuje przynajmniej o połowę mniej, aniżeli przy stoliku. Osobną opłatę większość lokali pobiera za nakrycie stołu (2-3 euro). Najczęściej płatne są również toalety (0,5-1,5 euro). I nie spodziewaj się reszty, jeśli nie masz drobnych.

Dobra kawa, świetne lody

Włosi słyną ze znakomitej kawy. Wszyscy miłośnicy tego napoju zapewne znają smak znakomitej włoskiej Lavazzy. Dobrze wiedzieć, że espresso to naprawdę zaledwie narpstek kawy, najlepiej więc zamówić cafe lungo, nazywaną gdzie indziej cafe americano. Jest większa, też dobra i aromatyczna, a przy tym lepiej pasująca do naszych przyzwyczajeń.

Wielu rzeczy można sobie odmówić, ale koniecznie spróbować wypada włoskich lodów. Natknąć się na nie można wszędzie, stoiska z lodami, różnokolorowymi i w kilkudziesięciu wyszukanych smakach można napotkać w każdym mieście. Ale trzeba uważać. W niektórych miejscach są przeraźliwie drogie. Dałem się naciągnąć we Florencji, przy słynnym Moście Złotników, gdzie za dwa różki zapłaciłem... 15 euro. Z miłymi panienkami sprzedającymi lody nawiązałem rozmowę po angielsku. Szło nam doskonale, dopóki nie przyszło do płacenia. Od tego momentu obydwie panie kompletnie straciły znajomość języka.

Toskania

Toskania jest cudowną prowincją Włoch, łączącą w sobie czar niezliczonych zabytków, zapierających dech w piersiach widoków, dziesiątków urokliwych wysepek i jednej, cokolwiek krzywej, wieży. Cóż, pobyt w Toskanii zapada w pamięć na wiele lat... Trudno zatem dziwić się naszym celebrytom, dla których głośne i publiczne popisywanie się wyjazdem na

wakacje w Toskanii, należy do jak najlepszego tonu.

Pewnych rzeczy słowami wyrazić się nie da, to wszystko trzeba ujrzeć na własne oczy, osobiście postawić stopę w krainie, po której przechadzali się Święty Franciszek, Dante Alighieri i Leonardo Da Vinci. Tu muszę przyznać, że w Toskanii chyba największe wrażenie zrobiła na mnie trochę niedoceniana Siena. U nas bywa kojarzona głównie z pewnym podstawowym kolorem (siena palona) oraz jednym z popularnych modeli aut marki Fiat. Rzeczywiście, barwy zabytkowych budynków, w tym zwłaszcza ratusza miejskiego w pełni przystają do koloru farbki o tej nazwie.

W Sienie jest niezwykły rynek, centralny plac miejski – Piazza del Campo. To taka doprawdy spora, swoista niecka, jako żywo przypominająca ogromny durszlak, wyłożona gładkimi płytkami i pachnąca pizzą. Plac podzielony został na sektory, odpowiadające wszystkim siedemnastu dzielnicom miasta. Właśnie na tym rynku, w ramach festynu na cześć Matki Boskiej, odbywa się Palio (nazwę palio też przyjął jeden z modeli Fiata), czyli słynne wyścigi konne, z tradycjami sięgającymi średniowiecza. Ekscytyująca rywalizacja – 3 okrążenia wokół placu – odbywa się dwa razy w roku: 2 lipca i 16 sierpnia. Udział w niej bierze dziesięciu dżokejów, reprezentantów dzielnic Sieny (więcej nie może ze względów bezpieczeństwa), zakwalifikowanych po wcześniejszych eliminacjach. Występują w barwnych strojach z epoki. Wcześniej cały plac wysypywany jest 30-centymetrową warstwą piasku. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że za miejsce widza (na którymś z balkonów placu) w czasie Palio trzeba słono zapłacić.

Rozpisałem się o Sienie i Toskanii, a tak na dobrą sprawę, nieco miejsca wypadałoby jeszcze poświęcić każdej innej miejscowości, do której w czasie wycieczki dotarłem. A więc wspomnieć jeszcze o Wenecji, Asyżu, San Marino, Neapolu, Florencji i Weronie. Może innym razem? Bo przecież warto wszystkie te miejsca poznać i zobaczyć...

TADEUSZ JĄDER

Dawne sądy i roty

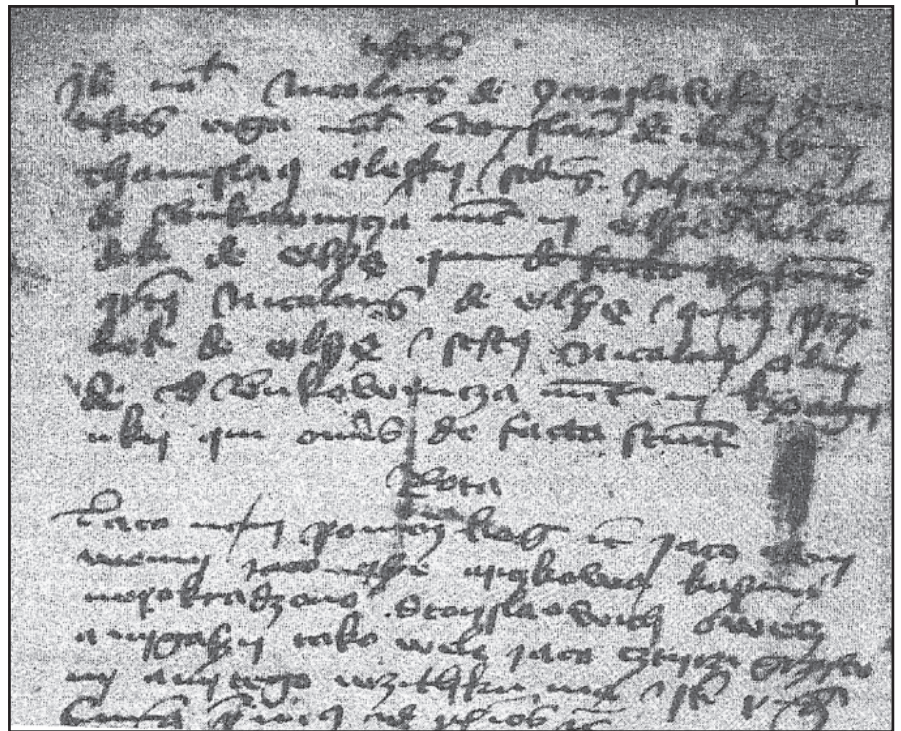
W najdawniejszych czasach społeczeństwo tworzyło różne formy samoorganizacji, które miały pomagać w obronie przed wrogiem, a także służyć samopomocy członkom poszczególnych społeczności. Początkowo organizacje te były bardzo prymitywne, ale w miarę upływu czasu tworzone coraz bardziej zorganizowane formy jak np. w starożytnej Grecji lub Rzymie. Od zwyczaju, który kształtował różne instytucje państwa, przechodzący do norm stanowionych i prawa pisanego.

Podobnie działo się w początkach istnienia państwa polskiego. Najwyższa władza spoczywała w rękach króla, który sprawował ją przy pomocy administracji i sądów. W Polsce średniowiecznej podstawową jednostką administracyjną były kasztelanie, a później powiaty. Były one zobowiązane m.in. dostarczać i zapatrywać żołnierzy, a także organizować pobór różnego rodzaju podatków. Państwo było podzielone na prowincje, w skład których wchodziły wspomniane kasztelanie. Na czele kasztelanów stał kasztelan (comes). W późniejszym okresie zastąpili ich starostowie, będący urzędnikami królewskimi sprawującymi władzę w jego imieniu na terenie powiatu. Starosta grodowy nadzorował miejscową administrację, stał na czele sądu grodzkiego i miał na terenie swojego powiatu prawo miecza, tj. egzekucji wyroków sądowych.

W pierwszych wiekach istnienia naszego państwa funkcjonowało prawo polskie zwane „obycajem wolnych gości”. Osoba, która zakładała osadę określała obowiązki osadników, którzy byli właścicielami nadanej ziemi i otrzymywali tzw. prawo wychodu. Osadnicy byli zobowiązani do ponoszenia pewnych ciężarów, wnoszenia określonych opłat jak np. podymnego, poradlnego, myta, powołowego itd. W miarę upływu lat i napływu z zachodniej Europy dużej liczby osadników rozpoczęto wprowadzanie prawa niemieckiego (magdeburskiego). Jego istota polegała na tym, że właściciel ziemski powoływał tzw. zasadźcę, który po zakończeniu prac związanych z organizacją osady, obejmował stanowisko wójta. Osadnicy otrzymywali ziemię, której przydział określano w łanach odpowiadających dzisiaj 17 ha. Osadnicy byli wolni.

Przyjmuje się, że początkiem prawa stanowionego w Polsce były statuty króla Kazimierza Wielkiego spisane w języku łacińskim. Statut Wielkopolski z 1357 roku zawierał 34 artykuły. Jak w każdej społeczności tak i wówczas występowały sprawy kryminalne, i cywilne. Organizacja sądownictwa była dość skomplikowana. Sądy miały wówczas

zamożni szlachcice w randze komorników i wiceurzędników. Ustalone terminy rozpraw zwano roczkami. Sądy ziemskie rozstrzygały wszystkie sprawy, w których pozwanymi byli osiadli szlachcice, z wyjątkiem spraw rozstrzygniętych przez sądy podkomorskie, grodzkie, wiecowe lub bezpośrednio przez króla.



Reprodukcja rot kościańskich. W zbiorach Autora

charakter stanowy, czyli każdy stan posiadał własne sądownictwo. W tym okresie powstały i rozwinęły się sądy ziemskie, których poprzednikiem były sądy nadworne. Jako namiestnik króla sądowi przewodził starosta, a w jego skład wchodził sędzia podsędek, wojewoda, podkomorzy i chorąży. Sąd objeżdżał poszczególne ziemie i tam odbywały się jego sesje. W późniejszym okresie miały już charakter stały i w jego skład wchodził żupey, którymi byli nie-

Sądy grodzkie. Do kompetencji tych sądów należały sprawy szlachty nieosiadłej oraz te sprawy, które nie podlegały innym sądom. W sprawach dotyczących szlachty osiadłej sądy te rozstrzygały sprawy z 4 artykułów dotyczących podpalenia, napadu na dom szlachcica, rabunku na drodze publicznej i zgwałcenia.

Sąd podkomorski. Zbierał się na polu będącym przedmiotem sporu i miał wyłączną kompe-



► tencję w sprawie rozgraniczenia dóbr szlacheckich.

Sąd wiecowy. Na terenie województwa lub ziemi istniał tylko jeden taki sąd. W Wielkopolsce sądowi przewodniczył jako namiestnik króla starosta, któremu w tych czynnościach towarzyszyli wojewoda i kasztelanowie. Wyrok takiego sądu miał charakter wyroku królewskiego. Za formalną stronę procesu odpowiadał podsędek i pisarz ziemski. Sądy te rozstrzygały ważne sprawy, jak np. dziedziczenie dóbr szlacheckich. Zbierały się na tzw. rokach wielkich trzy razy w roku. W razie przybycia króla sądy zawieszały swoją działalność, a sędzia podsędek i pisarz kontynuowali swoją pracę, ale już w ramach sądu najwyższego.

Sąd króla czyli nadworny. Zajmował się najważniejszymi sprawami, takimi jak zdrada stanu, czy wielkie spory majątkowe. Król nie zasiadał osobiście, ale jego urzędnicy, którzy sądzili w jego imieniu. Wymogiem było, aby odbywał się on na dworze królewskim.

Inaczej przedstawiały się sprawy sądowe w miastach i wsiach. W miastach mieszkańcy w zależności od stopnia zamożności byli zaliczani do patrycjatu, w skład którego wchodził bogaci kupcy i rzemieślnicy. Kolejną grupę społeczną stanowiło pospólstwo, czyli mniej zamożni mieszczanie oraz plebs, do którego należeli ludzie bez majątku, żebractwo itd. Władza w mieście należała do patrycjatu i to jego członkowie wchodziłi w skład rady miejskiej. Na czele samorządu miejskiego stał burmistrz. Rzemieślnicy skupiali się w cechach, które dbały o ochronę interesów swoich członków. W skład sądów miejskich wchodziłi rajcowie, którym przewodził burmistrz. Sądy te były instancją wyższą dla sądów cechowych i ławniczych. Witold Maise, historyk prawa, rozróżniał sądy ławnicze zwyczajne (wielkie wiece powiatowe, sąd żydowski) i nadzwyczajne (sąd potrzebny, gościnny i sąd kryminalny), a także sądy pospólstwa. Istniały także tzw. leńskie, w których sądzono wójtów przez im równych pod przewodnictwem księcia, a w dobrach prywatnych pod przewodnictwem pana.

Sądy wiejskie. Chłopi występowali w roli powoda przeciwko pozwanej

szlachcie do początku XV wieku. We wsiach istniejących na prawie polskim funkcjonowały sądy gajone, w których sądził pan z przysiężnymi. We wsiach zorganizowanych na prawie niemieckim działał sąd ławniczy, w którego skład wchodził sołtys i ławnicy.

Księgi sądowe. Były prowadzone przez pisarza. Każdy powiat miał odrębną księgę i w imieniu pisarza ziemskiego prowadził ją pisarz powiatowy.

Postępowanie sądowe. Do najważniejszych dowodów, którymi posługiwano się w ówczesnych sądach należały rotę, czyli przysięgi oraz świadkowie. Jak pisał prof. Balzer:

„Dwa te dowody pozostawały w ścisłym związku z sobą, gdyż przysięga świadka była wzmocniona tylko przysięgą strony, co do przysięgi zaś takie same były przyjęte przepisy. Prawo polskie dopuszczało jako dowód od najdawniejszych czasów przysięgę samej strony i to tak powoda jak i pozwanego. Przysięga miała charakter stwierdzający, przysięga pozwanego zwyczajnie charakter oczyszczający. Obok przysięgi samej była przysięga świadków: a) którzy byli przy pewnym fakcie lub znali stan faktyczny lub stosunek prawny. b) którzy byli tylko przekonani o prawdziwości zeznań strony. Pierwszych określano jako *intestimonium* „jako wiedzą i świadczą”. Drugi byli *testes qui sciunt* zeznawali tylko w oparciu o swoje przekonanie”.

Od XIV wieku musieli wywodzić się z tego samego stanu, a nie mogli tego czynić ludzie nie cieszący się sławą lub wykluczeni. Katolicy składali przysięgę na krzyż, który dotykali przy składaniu rotę, a Żydzi na Torę. Przysięga była składana w obecności drugiej strony i woźnego na osobnych rokach, w formule ustalonej przez sąd, którą należało głośno i wyraźnie powtarzać. Ciekawostką może być to, że Żyd składający przysięgę według rotę polskiej obowiązany był „obrócić się przeciwko słońcu, osobnie od ludzi innych i ma stać boso na jednym stołku, przyoblekszy się płaszczem albo suknią, a czapkę żydowską ma mieć na głowie. Rota przysięgi żydowskiej składała się z błogosławieństw dla niewinnego oraz z długiego szeregu przekleństw dla winnego wyrażonych językiem pełnym powagi i mocy.”

Warto przytoczyć jeszcze formułę składaną według prawa niemieckiego przez ławnika. „Ja przysięgam Bogu na-

szemu miłościwemu królowi i temu prawu, ku któremu wezwan jest, iż ja temu sędziemu podług prawa posłuszen chcę być i też ludziom ubogim i bogatym sprawiedliwy ortel znać chcę i ten przysiężniczy stolec podług niemieckiego prawa bronić, jako nasprawiedliwie wiem albo mogę i folgę mieć mogę, a tego dla żadnej rzeczy opuścić nie chcę, tako mi Bóg pomóż w Trójcy jedyny”.

Roty kościańskie

Zachowało się 10 kościańskich ksiąg ziemskich z lat 1391-1434. Przechowywane są w Państwowym Archiwum Wojewódzkim w Poznaniu, a jedna - w Bibliotece Kórnickiej. Łącznie znajduje się w nich 1486 rot. Poszczególne grupy rot były w 1899 r. publikowane przez J. Lekszyckiego - 170 rot, w 1902 r. przez F. Piekosińskiego - 250 rot, J. Przyborskiego - 51 rot z lat 1394-1432. Najwięcej rot zawiera księga IV z lat 1412-1420 - 255 rot, księga V z lat 1416-1425 - 490 rot oraz księga VII z lat 1423-1428 - 262 rotę.

Księgi te wytworzyło 25 pisarzy sądowych. Rotę były pisane w języku polskim, który stopniowo wypierał język łaciński. Jednak na samej rozprawie przysięgano w tych latach w języku polskim, a obowiązujący tekst łaciński tłumaczono na język polski. Zwrócono uwagę na to, że część rot była napisana w formie brudnopisu, ale większość jednak w formie czystopisu. Dotyczy to szczególnie wspomnianej księgi V, w której z 490 rot polskich 370 posiada swoje odpowiedniki w czystopisach. Badacze rot sądowych uważają, że brudnopisy zawierają w polskich rotach więcej wstęptów łacińskich niż czystopisy, w których tłumaczyło się je na język polski. Oto kilkanaście tekstów rot:

- Jako to świadczymy, jako Ramsz uderzył Macieja trzykroć w lice i kopi (jim) w łeb
- Jako to świadczę czo Mirosław ranił Wawrzyńca, to uczynił za jego początkiem i za jego nagabaniem
- Jako Mirosław Małuja nie ranił ani ot niego łupu nie brał
- Tako mi pomoży Bóg i święty krzyż jakom przytem był i tom widział, kiedy Małgorzata s swoim mężem skrzynię rozbiła i wybrała listy i rzeczy jako sześć-grzywien
- Tako jim pomoży Bóg i święty krzyż Jako to świadczę iż Janurz Woznieski

zaległ Jędrzychowi Hinczkowemu synowi, drogę, i wskopał nań z dziewięcią panicem a s Sześciu podlejszych i bieżał za nim na jego dziedzinę Ujazd, i tam mu dany mocą i gwałtem trzy rany

- Tako mi pomoży Bóg i święty krzyż
Jako mi Piotr konia zabił

- Tako jim, jako to świadczę, iż pani Prachna s swym mężem tę łąkę trzy lata wytrzymała spokojnie, na jeźże łące Jakurz Sepieński dwie kosie wziął s jednym podlejszym

- Jakośmy przytem byli, iż Wojciech Kuranowski nie zajął Jakuszowi Wyciązkowskiemu ogroda zagrodzonego na Goniębicach

- Tako mi pomoży Bóg etc., jako com wzięła dwoje koni i wóz i kosę, tam wzięła na swojej prawej łące, na Jurkowie, an mi siecze

- Tako jim pomoży Bóg i święty krzyż, jako to świadczymy, iż Kąkolewski Mikołaj nie dał dziesiąci ran Szczepanowi, kmieciowi z Granowa, gwałtownie samowtor s tako dobrym jako sam, ale ji, Szczepana, stłukły jego konie

- Takoż im pomoży Bóg i święty krzyż, jako to my świadczymy, iż przed tymi niżeśmy pozwami, trzy lata jakośmy nie powyszali pogrodek, upustów i stawideł

- Tako mi pomoży Bóg etc., jako dla niezapłacenia trzech grzywien a Bernharo Kargowskiego jem szkodzien trzy grzywny

- Tako nam pomóż Bóg etc., jako o tem wiemy, jako iże Miczkowa Kaźnia nie pokradziono Staisławowych owiec ani gęsi, tako wiele jako cztery grzywny, ani tego użytku ma

- Jako cso zajęła ma czeladź trzysta owiec i trzy a pół kopy świni panie Lutce i jej ludziom to zajęto na Morawcewie, nie dziedzinie i w mym dzierzeniu

- Jako to świadczę przy tem był, iż Tomisław Kluczewski przyjachał we dwudziestu podlejszych na Śniaty, Wyszemierową dziedzinę, gwałtem i ranę mu dał!

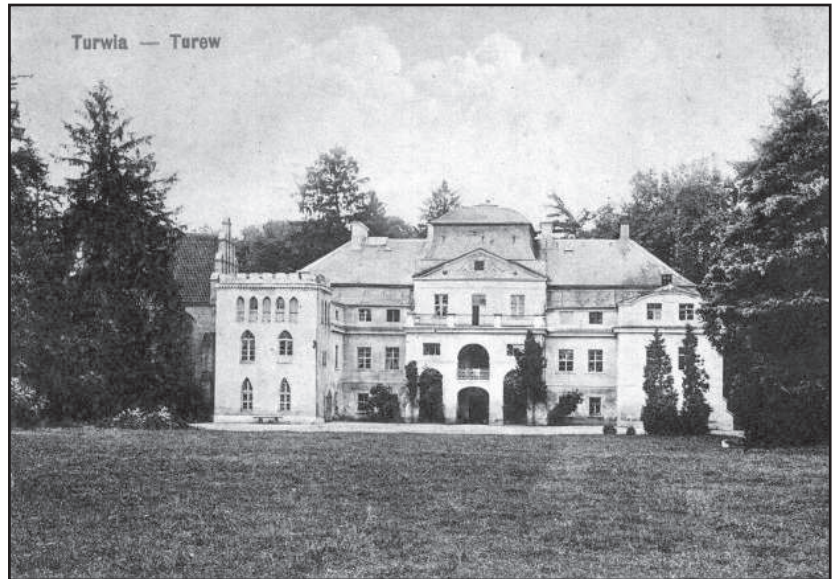
- Tako mi Bóg etc., jakom nie gonił Tomisława aniśm ji złymi słowy gabał

- Jako to świadczymy, jako Janek zapłacił swego oć ca dług Lutkowi wszystkim

- Jako to świadczę, jako Tomisław nie ukradł Święchowi konia ani jego użytku ma

- Jako to świadczymy, jako Janusz nie wziął kamienia krzyżowa tego granicznego s swymi pomocnikami a między Jurkowem Osiekiem, tu gdzie woźnemu Materna ukazał.

JAN PAWICKI



Widokówka z Turwi. Oryginał w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

Wszereż i wzdłuż Ziemi Wielkopolskiej (IV)

Dwaj dziennikarze poznańscy red. red. Ziemiński i Piechocki zjechali Wielkopolskę, a swoje spostrzeżenia zawarli w publikacji pt. „Wszereż i wzdłuż Ziemi Wielkopolskiej”, wydanej w 1934 roku. W tekście zachowano pisownię oryginału.

W rezydencji, z której wielki prezydent zrezygnować zechciał

Samochód zajechał i stanął przed biurami Administracji Dóbr Stadnin Państwowych w Racocie. My sami przez boczną wnikamy w wielki, dostojny park pałacowy. Kołując i klucząc podchodzimy z frontu pałacu racockiego. Przytuleni do jednego z filarów słuchamy, jak w drzewa pluszcze drobny deszcz, nasz nieodłączny w podróży kościańskiej towarzys. Wstają wspomnienia z przeczytanych aktów.

Zwał się najpierw Radsad, po r. 1600 Racat. Za rządów pruskich przyjął się gwarowy Racot. Pierwsze wspominki „Raczsati in insula” („Racat na ostrowie”) spotykamy w aktach z 1366 r. Dziedzicami wówczas byli Borkowie z Gryżyny. Szły lata, wieki, zmieniali się panowie Racatu. I pewnego dnia przyjechał tu w samochodzie z proporczykiem, na którym błyszczał biały orzeł w amarantowej otoce – siwy, wysoki pan.

Chodził po parku, jechał na polowanie, a wieczorem pisał, pisał w pałacu. I znów wyjeżdżał do dalekiego warszawskiego zamku. Lecz gdy przyszły ciężkie dni i dla polskiego kraju, wysoki, siwy pan zrezygnował w pięknych pałacowych apartamentów. Dostojny Gość przestał przyjeżdżać do Racotu.

O „Fauście” i innych konikach Siedzimy w biurze naprzeciw p. Władysława Siemieńskiego.

- Więc najpierw ogólnie o gospodarstwie racockiem?

- Dobra Stadnin Państwowych Racot obejmują obszar 900 ha. Należą one od roku 1923 do Wydziału Chowu Koni Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w Warszawie:

Gospodarstwo nasze nastawione jest wyłącznie w kierunku hodowlanym, a mianowicie posiadamy t. zw. Państwową Stadninę Koni półkrwi angielskiej, oraz



zarodową oborę czystej krwi wschodnio-fryzyjskiej.

- A teraz pójdziemy to wszystko zobaczyć.

Wchodzimy do budynków, w których stoją konie.

- Państwowa Stadnina Koni w Racocie założona jest w roku 1928 – informuje p. kierownik – typ konia naszego, to półkrew angielska. Mamy tu w stajniach obecnie 150 sztuk.

Podchodzimy do jakiejś separatki.

- Tu panowie zobaczycie chlubę naszej stadniny, najcenniejszego reproduktora – ogiera „Fausta”, pełnej krwi angielskiej.

Jeszcze „Fausta” nie widzimy dobrze, ale już go słyszymy. Jest niespokojny. Ciągłe coś tam w stajni potraça. Teraz uchylono drzwi. Widzimy piękne, ciemne zwierzę o ślicznej głowie z rozdętymi chrapami. Leci zaraz na koniuszego. Trzymany mocno za uzdę, szarpie się i wierzga. A w każdym poruszeniu jest piękny.

- Jest jeden z najlepszych ogierów folblutów młodszej generacji urodzonych w Polsce – wyjaśnia dalej p. Siemieński – w swej karierze wyścigowej, odbytej na torze warszawskim w latach 1928-1930 wygrał z górą – 214 000 złotych.

Potem oglądamy klacze: więc bar-

dzo wytrzymała „Zorza”, dalej piękna, czarna klacz kozacka „Wiera”, a tam znów frywolna „Lou-Lou”. Obok pięknych matek stoją przemiłe źrebięta, bardzo chętnie odbywające ze zwiedzającymi konferencje ponad bramką boksu.

Skolei przechodzimy do obory.

- Jest to zarodowa obora czystej krwi wschodnio-fryzyjskiej, założona w r. 1927, zapisana do ksiąg rodowodowych T-wa Hodowców Bydła Nizinnego w Poznaniu. Jest tu sztuk 115, w tem krów matek 60, młodzieży 53 i 2 buhaje reproduktory.

- Jaką osiąga, Pan Dyrektor, przeciętna mleczność od krowy?

- W roku 1931/32 wynosiła ona 5,328 kg mleka o zawartości tłuszczu 3,36%, za który to wynik hodowlany została nasza obora nagrodzona „Złotym medalem” przez Wielkopolską Izbę Rolniczą w Poznaniu. Jest to jedna z pierwszych zarodowych obór bydła nizinnego w woj. Poznańskim i Polsce – kończy p. Siemieński.

My także skończyliśmy oglądać piękne czarno-białe krowy o imponujących wymionach. Pożegnanie serdeczne i odjazd naszej ekipy na rasowych koniach H. P. – Steyera... Skracamy teraz w bok, jedziemy przez chwilę w kierunku Witkówek sławną 500-letnią aleją lipową Jabłonowskich. Wracamy znowu na szo-

sę do Kościana. Chcielibyśmy zobaczyć sławne dęby w Kopaszewie, sadzone rękami Mickiewicza i Kościuszki.

W ziemi Kościańskiej jest zbyt dużo pamiątek i zabytków, by móc wszystkie zobaczyć w krótkiej wędrowce. Przypominamy sobie bogate zbiory wykopalisk z Szczodrowa, Kokorzyna, Lubinia, Kąt i in., oddane do Muzeum Wielkopolskiego. A przecież w Ziemiach znaleziono cmentarzysko z kulturą średnio-lużycką z 1400 lat przed Chr.

Wjeżdżamy do Kościana, poto, by pożegnać miasto, którego los nie oszczędzał, miasto, którego blask przyćmiły łuny pożarów i wojennych łun. Przesiadamy się na naszego „Rudge’a” i sypimy w kierunku na Czempin.

Koleje losów czempiańskiego miasta

Rozmawiamy z zasłużonym burmistrzem miasta, p. Szpopperem.

- Jak się przedstawia, Panie burmistrzu, historia m. Czempinia?

- A więc o nazwie. Nazwa Czempin pochodzi od nazwiska kmiecego Czempa. W roku 1403 spotykamy pierwszą wzmiankę „de oppido Czampino” w księgach ziemskich kościańskich; w księgach zaś ziemskich poznańskich występuje w roku 1410 Jan Czempiański. Rok 1434 jest



Pocztówka z Czempinia. Oryginał w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

najstarszą datą Łodziów na Czempiniu a jako posiadacz Czempinia zapisany jest tegoż roku w księgach wieczystych poznańskich Jan Bniński, herbu Łodzia, kasztelan międzyrzecki, syn Małgorzaty. Wojewoda poznański Stanisław Górka nadał miastu w roku 1561 prawo magdeburskie i od tego czasu istnieje obecny herb miasta. Obecnie liczy Czempień 2100 mieszkańców w 96% polskich.

- A jaki jest stan majątkowy?

- Czempień posiada majątku ca 300.000 zł. Długów nie mamy. Na majątek składa się m. in. Gazownia, schronisko dla starców, ochronka, przedszkola, ratusz i. t. p. W ubiegłych latach dokonano gruntownego remontu Gazowni Miejskiej kosztem 20 000 złotych, pozatem założyłem na poprzednio odlogiem leżącym starym targowisku park miejski. Projektuję dokończenie nowej targowicy miejskiej i przebrukowanie ulic oraz rynku. Teraz poruszę w ogólnych zarysach handel i przemysł. Z pośród zakładów przemysłowych wymienię fabrykę tlenu „Sawja”, fabrykę maszyn i młyn parowy – których właścicielem jest długoletni prezes Rady Miejskiej pan inż. Antoni Jezierski. Pozatem istnieją młyn motorowy, Bank Ludowy, dwie firmy rolniczo-handlowe oraz niestety nieczynne od kilku lat Czempieńskie Zakłady Hutnicze, co jest naszą największą bolączką; mamy ich zresztą więcej, a więc: brak wody do urządzenia pływalni i wogóle sportu wodnego oraz odpowiedniego terenu pod boisko. Znika także ruch budowlany mimo świetnych warunków terenowych. Miasto bowiem posiada liczne parcele budowlane położone tuż przy dworcu osobowym z ładnym widokiem na lasy majątności Borówko Stare. Czempień, mając dogodną komunikację kolejową, leży bowiem na ruchliwej linii kolejowej Poznań-Leszno-Rawicz i Czempień-Śrem-Jarocin, nadaje się na pobyt dla osób dojeżdżających do pracy do Poznania i innych miejscowości.

Z miłego w wyglądzie nawet deszczowym Czempinia jedziemy już do Poznania, którego nie widzieliśmy od dni kilku. Jedziemy podmokłymi drogami w towarzystwie przydrożnych rozkwiecionych drzew i zieleni pól po obu stronach dróg. Jedziemy przez zapłakany świat. Ale nie martwimy się. „...Mokry maj, będzie żytko jakby gaj...” Zwłaszcza na urodzajnej kościańskiej ziemi, której granice w tej chwili mijamy. (Koniec)

Niech mówi przeszłość

Zniszczony w czasach porzoborowych dworek w Jurkowie należał zrazu do rodu Rogalińskich. Pod koniec XVIII w. zasłynęli czterej bracia z tego rodu. Michał, opat klasztoru cystersów w Bledzewie nad Obrą, znawca sztuki i starych druków. Kasper, starosta obornicki, wojewoda inflancki, poseł Rzeczypospolitej na dworze carycy Katarzyny i Fryderyka Wielkiego. Stanisław, podkomorzy i kasztelan międzyrzecki. Józef, sławny matematyk i astronom. Coś emanowało z tej ziemi, wytwarzało atmosferę sprzyjającą ludziom niezwykłym...


Po Rogalińskich Jurkowo dostało się w ręce Morawskich z Lubonii i Oporowa. Wyszło z tego rodu kilkunastu luminarzy nauki, pisarzy, twórców. Nie tylko mężczyźni; wśród Morawskich rodziły się utalentowane, a w każdym razie niezwykle kobiety. Jak Henrietta, żona oficera listopadowego powstania, teściowa Heleny Modrzejewskiej. Jak Irena, żona znanego działacza katolickiego, Anglika Karola Bodenhamy. Jak Konstancja, literatka i poetka. Jak Magdalena Morawska, poetka i prawniczka czterech generałów polskich: Henryka Dąbrowskiego, Franciszka Morawskiego, Dezyderygo Chłapowskiego, Karola Turno.

*

W odległym o kilka kilometrów od Kościana Racocie mieściła się aż do ostatniej wojny stadnina państwowa i przechowało się sporo z tradycji Rzeczypospolitej. Dawna siedziba Kostków przechodziła kolejno w ręce Brochwiczów i Jabłonowskich. Jabłonowski odbudował spalony w czasie Konfederacji Barskiej pałac i urządził w nim teatr. W tragicznym roku 1792 przez kilka miesięcy przebywał pod tym dachem książę Józef Poniatowski, już po Dubience i Ziełnicach, po przystąpieniu stryja do Targowicy, w drodze na emigrację. Piękny jest pałac w Racocie, piękna wokół okolica. Gospodarzom pochlebiało niewątpliwie, że goszczą królewskiego bratanka, sławnego księcia Pepi, bohatera tylu romansów i skandalów, co imponowa-

ło w owej epoce, wodza przegranej po zaciętej walce kampanii ukraińskiej, pierwszego kawalera Rzeczypospolitej. Bez wątpienia starali się umilić gościowi pobyt polowaniami, balami, przyjęciami dla okolicznego ziemiaństwa. Młodość ma swoje prawa, łatwo nie poddaje się rozpacz. Pił tedy zapewne, balował, zawracał głowy ziemiankom i szlachciankom. Dopiero w godzinach samotności zjawiała się desperacja, gorycz, świadomość klęski.

Kto zwiedzał pałac w Racocie łatwo wyobrazi sobie tylekroć oglądaną na portretach i sztychach postać na tle magnackiej siedziby. Któryś z pokoiów od frontu. Głęboka noc. Czasem wsunie się milczący kamerdyner i obetnie szczypcami kopnące świece. Rozjaśni się na chwilę komnata i znowu gipsowe amorki w plafonie pogrążają się w mroku. Nerwowo obraca w zębach dawno wygasłą „lulkę”. I znowu skrzypi gęsie pióro, biega szybko po welinowym papierze. Do kogóż ten list? Do stryja? Do kochanki? Do towarzyszy broni? Alteracja widoczna z każdego ruchu, z ciągłego sięgania po świeże, lepiej zacięte pióro każe wnioskować że niemałej wagi muszą być sprawy powierzane poczcie.

Umyslny posłaniec powiezie skoro tylko się rozwidni. Nie znamy treści tej korespondencji. Zostały strofy Or-Ota... 

► *

Turwia i Kopaszewo Chłapowskich. Rolnicze „stolice” kościańskiego powiatu, szkoły praktykantów, uniwersytety młodych agronomów. Miejsce pracy organicznej, od podstaw budowania porozumienia i współpracy ze wsią, wielkopolskiego pozytywizmu. Ośrodki promieniowania polskości na wszystkie zabory, kuźnice kultury, dwory odwiedzane przez wielu ciekawych i niepospolitych ludzi.

Najsławniejsza postać tego rodu to generał Dezydery Chłapowski, dzidzie Turwi. Wychowanek berlińskiej

akademii wojskowej generała Scharnhorsta, oficer ordynansowy Napoleona, pod koniec 1810 już podpułkownik i dowódca szwoleżerów gwardii. W odwrocie spod Moskwy ratuje ciężko rannego generała Dąbrowskiego. W bitwie pod Reichenbach otrzymał ciężką ranę kiedy na czele czterech szwadronów w pięciu szaleńczych szarżach rozbił kilka pułków dragonów i kozaków i wyrąbał drogę odwrotu dla francuskiej piechoty. Ale to już kres. Upadek Napoleona. Gorycz losu polskich straceńców.

Na pociechę pozostaje praca nad poprawą gospodarki rodzinnej ziemi. Z królestwa dochodzą niepokojące wie-

ści o ekscesach Konstantego, o wrzeniu rewolucyjnym, przyjeżdżają dawni towarzysze broni, niedługo tego gospodarowania. Przychodzi noc listopadowa, mąż szwagierki wygnany z Belwederu, aż nad Obrę dotarło przejmujące „Do broni! Do broni!”.

Nie traci czasu, przekrada się przez granicę, melduje się u Chłopickiego. Jasno zabłysła w powstaniu listopadowym gwiazda Dezyderego Chłapowskiego – napoleonidy. W bitwie pod Grochowem dowodzi szarżą brygady kawalerii, osłania lewe skrzydło Skrzyneckiego, mimo dużych strat odbija stracone pozycje. Powiedzie śmiałą wyprawę na Litwę, w dwa tygodnie ponad 400 kilometrów, nie da się otoczyć ciągnącym zewsząd korpusom wroga, stoczy kilka pomyślnych potyczek, przejdzie Niemen, forsownym marszem podjedzie pod Wilno.

Wysięk pułków Chłapowskiego zwyciężyła nieudolność dowódcy innej armii powstańczej generała Giełguda, zastrzelonego w końcu przez jednego z podwładnych. Na wiele lat po upadku powstania tematem niekończących się debat w Turwi i Kopaszewie była dzielność żołnierza powstania i katastrofalne niedołęstwo dowódców Chłopickiego, Skrzyneckiego, Krukowieckiego, Rybińskiego. Do najbardziej lubianych gości należał doktor Karol Marcinkowski, sławny patriota-społecznik, „doktor Marcin”, szef sztabu Chłapowskiego na Litwie.

*

Franciszek Morawski, poeta tych stron opisuje jak w XIX w. pan Wojski na wizytę jedzie. A obok niego „zaczna magnifica zawołana gosposia i Polka zabita”. Ubrana:

W manele i mitenki, lankotki,
lewitkę

Agazanty z forbotem, kornet
Z fontazikiem

Balsankę za gorsetem i perły
Z krzyżykiem

Ma w swej konsyderatce

Wszystkiego po trosze

Ma książeczkę z koronką

Larendogrę, różaniec, chustkę

I tabaczkę

W dworach i dworkach tutejszych mieszka staropolski obyczaj i niezwykli ludzie. Ziemiań i prostych, rubasnych hreczkosiejów łączy gościnność, sąsiedzkie współzycie. Zajęcia gospodarskie urozmaicają wizyty, polowania, kuligi, bale, imieniny, wesela, chrzciny.



Magda Morawska (1922 – 1944). Fot. w zbiorach Macieja Morawskiego w Paryżu

Topolowymi alejami, koleinami polnych dróg, wdzierających się w chłód wąwozów zarosłych maliniskiem, obok miedz, gdzie tarniny rosną i głogi, po drągowniach zawsze niepewnych mostków – turkocą koczobryki, wasągi, kolasy, skarbniczki, bryki. Kurzawy na gościńcach, palenie z batów przed pojazdami – goście jadą! Wypadli gospodarze na ganek witać, zapraszać na pokoje, bieganina w stołowym, w kredensie, w czeladnej, pospieszne przymierzanie „stroików” po panińskich pokojach, alteracja po oficynach rezydentów.

W gronie starszych wążaczów rozprawią o cenie na zboże, o hodowli opasów, o polowaniu, ogarach zacnych kundysach na dziki: szepcą na ucho o karbonarach, związkach tajemnych, wysłannikach z Paryża. W towarzystwie panien atrakcyjnych urodą, posagiem, nazwiskiem w paranteli z szeregiem wojewodów i kasztelanów – niejeden epuzer, niejeden młody człowiek zakochany we wdzięcznym buziaku, mimo bolesnej pewności że panny mu nie dadzą – beznadziejnie, *contra spem*, „pograżon”.

W okresie listopadowego powstania pojawia się w tych okolicach skromny nauczyciel Adam Muhl. W wielkopańskich rezydencjach, po prostych dworcach i folwarkach przyjmują go gościnnie, zastawiają suto stoły, wiodą z tajemniczym gościem długie i sekretne rozmowy. Rośnie legenda. Bielewo, Chorynia, Kopaszewo, Czacz, Turwia – nadobrzański szlak i Adama Mickiewicza. Ludzie tutejsi, sprawy ich i troski ożyją w „Panu Tadeuszu”, niebieskozielona równina Obrzańskie Lęgu przyda blasków ziemi „gdzie panińskim rumieńcem dziecielina pała”. Sekrety kucharskie, kawiarki z dworów, obrazy rodzajowe, opisy przyrody, szlachciury-oryginały, tradycje i sagi rodzinne – wszystko to po latach przeniesione pod inne niebo, obrodzi obfitym plonem w najpiękniejszej polskiej epopei. Spór o „Kusego” i „Sokoła” to umieszczona w nadniemeńskich realiach opowieść znad Obry. Tak nazywały się charty braci Ksawerego i Kaliksta Bojanowskich. Kalikst Bojanowski ożeniony z Potworską mieszkał w Bielewie.

Często szły tamtędy szlaki naszych harcerskich wycieczek i biwaków.(Koniec)

ADAM TOMASZEWSKI

Na podstawie „Wiadomości”, Londyn, nr 1647, 23 października 1977r. Przypisy z tekstu zostały usunięte.

Placówka Dworcowa PCK w Lesznie

Pamięci mojej matki

W nocy z dnia 31 stycznia na 1 lutego 1945 wkroczyli do Leszna Sowieci i komendantem węzła kolejowego w tym mieście był odtąd Rosjanin major Jarremkin, który wyraził zgodę na otwarcie z dniem 6 lutego 1945 Placówki Dworcowej Polskiego Czerwonego Krzyża w pomieszczeniach baraku po Placówce Dworcowej Niemieckiego Czerwonego Krzyża, w której znajdowała się kuchnia z ogromnym kotłem, duża sala ze stołami i ławami, salka rekreacyjna z łózkami, ambulatorium z apteką oraz pokój dla personelu z biurem. Placówka była czynna całą dobę i na stałe zaangażowane w niej było osiem kobiet, a ponadto zgłaszały się panie doraźnie do pomocy. Lekarz przybywał na wezwanie. Był to zazwyczaj doktor Sielicki.

Dla personelu Placówki był to okres wyczerpanej pracy, ponieważ przez Leszno przejeżdżało na dobę wiele pociągów z ludźmi „zza Buga”, z tymi, którzy wracali do swoich domów i siedzib z Generalnego Gubernatorstwa, z robót przymusowych w Niemczech, z obozów jenieckich i koncentracyjnych, z wojskiem i zaopatrzeniem, no i szabrownicy. W punkcie odżywczo-sanitarnym PCK wydawano posiłki, udzielano doraźnej pomocy chorującym w drodze, można w nim było umyć się, nakarmić dzieci, chwilę odpocząć. Na dobę przewijało się przez ten punkt do stu osób. Formalnym zwierzchnikiem Placówki Dworcowej PCK był prezes Czerwonego Krzyża w Lesznie, magister Kazimierz Najtkowski. (Placówka istniała do 1 maja 1948 roku. Faktycznie funkcjonowała przy pomocy służb kolejowych. Zaglądali do niej oficerowie sowieccy oraz funkcjonariusze Służby Ochrony Kolei).

Doraźnie, do cięższej pracy (węgiel, ziemniaki, odgarnianie śniegu) przysyłano jeńca Wehrmachtu z obozu w Gronowie. Bywało, że rodziły się tu dzieci, a czasem i umierały wycieńczone dalekim transportem Zabużan. Takie mogiłki z krzyżami z żerdek do pomidorów znajdowały się pomiędzy ulicą Kilińskiego a torami kolejowymi.

Aby zyskać minimalny pogląd na ówczesną, tuż powojenną sytuację z uwzględnieniem tak zwanych wtedy Ziemi Odzyskanych, warto przypomnieć, iż Leszno stanowiło wtedy bazę, skąd delegowano urzędników administracji do Wschowy (Owczarski, Geremek) i Zielonej Góry.

W przepustce z dnia 14 lutego 1945, wydanej przez komendanta Milicji Obywatelskiej w Lesznie stwierdzono, że „Pani Wachowiak Kazimiera (...) ma prawo udać się z Leszna do wszystkich miejscowości celem założenia Placówki Czerwonego Krzyża”.

Kazimiera Wachowiakowa udaje się w tym celu do Wschowy, ale jak potwierdzają źródła daremnie, gdyż w tym czasie we Wschowie istniał już Polski Czerwony Krzyż.

W Muzeum Ziemi Wschowskiej znajduje się przepustka dla wyżej wymienionej z dnia 12 czerwca 1945, wystawiona w języku polskim i rosyjskim przez Komendanta Powiatowego Milicji Obywatelskiej oraz Wojennego Komandira goroda Leszno, zezwalająca na wyjazd w sprawach organizacyjnych PCK do Zielonej Góry. Natomiast K. Najtkowski, Pełnomocnik PCK w Lesznie, zaświadcza w dniu 4 lipca 1945, iż „Obywatelki Wachowiakowa Kazi-

► miera i Bączyk Zofia udają się do Zielonej Góry w celach służbowych PCK”. Punkt Sanitarny PCK w Zielonej Górze znajdował się wtedy przy ulicy Niepodległości, w jednej z willi w pobliżu dworca.

Każda podróż wtedy mogła się okazać niebezpieczna, a przynajmniej nie pozbawiona przygód. Do Zielonej Góry jechało się z Leszna przez Czerwieńsk nad nurtem Odry po nie do końca wysadzonym przez Niemców moście, a pociąg ubezpieczał karabin maszynowy ustawiony w otwartych drzwiach wagonu, wycelowany w gęstwinę lubuskich liściastych lasów, z których skrytobójczo mógł zaatakować niemiecki „Werwolf”, czyli niedobitki Wehrmachtu.

W schronisku PCK w Zielonej Górze spędziłem jedną noc, przebudzony przez cywila z białoczerwoną opaską na rękawie, z literami MO, wyposażonego w długi karabin z najeżonym bagnetem, takim, jakie mieli marynarze zdobywcy Pałacu Zimowego w 1917 w Piotrogradzie. Milicjant pochodził z Leszna i później miał warsztat z papuciami (bambosze) na ulicy Łaziebnej obok szewca Skorupińskiego, którego brat fryzjer prowadził zespół pieśni i tańca we Włoszakowicach, występujący także na boisku „Sokoła”.

Ale na razie nie dane mi było spokojnie przespać tej zielonogórskiej nocy, gdyż w sąsiednim pokoju jakiś człowiek poprzecinał sobie żyły. Zanim jednak wróciłem do Leszna, po-

stanowiłem zobaczyć miasto. I doszedłem do ulicy Wrocławskiej, gdzie na ciężarówce sowieccy żołnierze ładowali zdemontowane niemieckie maszyny tkackie i włókiennicze z fabryki znanej później jako „Polska Wełna”.

Po pewnym czasie do macierzystej Placówki Dworcowej PCK w Lesznie



wróciła Kazimiera Wachowiakowa, którą w czasie jej nieobecności zastępowała pani Pijanowska. Skąd pani Pijanowska przybyła tego nie wiem, natomiast dla mnie stanowiła uosobienie świeckiej zakonnicy i kwalifikowanej pielęgniarki zawsze gotowej do służby ludziom i pobożnej. Od niej otrzymałem książeczkę z nowenną do św. Gerarda Majelli, pa-

trona dobrej spowiedzi. Czyżby ona już wtedy przewidywała, że św. Gerard będzie mi pomocny?

Tutaj też przebywała pani Kirkienowa, żona dyplomaty w rządzie emigracyjnym w Londynie, która przez Czechy wydostała się (zresztą nie ona jedna) do Anglii. Bywał tu również mece-

nas Dobrogowski, chyba po to, aby służyć pomocą prawną nie tylko jej, ale także paniom, które opuściły swoje dobra na Kresach Wschodnich w obawie przed nacierającymi na Niemców bolszewikami. Pozbawione domowej służby, w trudne zimy nie potrafiły napalić w piecu ani gotować, więc pomagały im dziewczyny z Placówki Czerwonego Krzyża, prekursorki obecnego wolontariatu, bezinteresowne, ofiarne, dlatego warto je tu wymienić: Zofia Bączyk, Maryla Dołczewska, Ania Frątczak, Longina Lorkiewicz, Celina Starosta, Ania Śmierchalska, Celina Talaga oraz NN.

Zdarzyły się, wprawdzie pojedyncze, incydenty z jeńcami

niemieckimi: otóż z przejeżdżającego transportu Niemiec chlusnął wrzątkiem na gołe nogi dziewczyny z opaską Czerwonego Krzyża i dotkliwie ją poparzył.

Pewnego dnia do Kazimierzy Wachowiakowej dotarł pisany ołówkiem po polsku list od Ślązaka, jeńca Wehrmachtu z obozu w Gronowie, tego dnia zatrudnionego w PCK na dworcu, któ-

ry oddalił się z miejsca pracy i rozpoznano go w mieście, co uznano za próbę ucieczki i groziła mu za to surowa kara. Jeniec tłumaczył, że nie miał takiego zamiaru, że chciał tylko w mieście coś kupić i prosił o wstawiennictwo.

To, że w czasie okupacji Ślązacy i Pomorzanie byli wcielani do Wehrmachtu, jest tajemnicą poliszynela.

W czasie działań wojennych 1945 roku na szczególnie zniszczenie narażone były miasta wyznaczone przez Niemców jako „twierdze”. Wokół miast-twierdz broniących w desperacki spo-

sywne mury wypalanej gotyckiej świątyni.

Pociąg jadący wtedy z Leszna do Głogowa zatrzymywał się przed mostem na Odrze wysadzonym przez Niemców tak, iż przęsła mostu znalazły się w nurcie rzeki. Do zniszczonego grodu prowadził prowizoryczny most pontonowy dla pieszych i lekkich pojazdów.

Tymczasem w Placówce Dworcowej PCK w Lesznie zabrakło leków i opatrunków, których niedostatek odczuwało się także w aptekach i szpitalach, ale kolejarze przekazali kierow-

Pod tą samą datą pismo odręcznej treści w języku rosyjskim z identyczną prośbą wystawił radziecki naczelnik węzła kolejowego w Lesznie do swego odpowiednika w Głogau, czyli w Głogowie.

Jaki był rezultat wyprawy po leki do Głogowa dwóch młodych kobiet tego nie wiem, natomiast wiem, że nieraz Kazimiera Wachowiakowa wykazywała się odwagą. Tak było na przykład w przypadku sowieckiego oficera, który wpadł do naszego mieszkania z wyjętą z pochwy szablą



Personel Placówki Dworcowej PCK w Lesznie, 1946 rok.

Fot. w zbiorach autora

sób, takich jak Poznań, Wrocław czy Głogów, Armia Czerwona tworzyła przez wyznaczone do tego celu zaprawione w walkach ulicznych oddziały pętli, z których Niemcy nie mieli się gdzie wycofać, gdyż zasadnicze Fronty Koniewa i Żukowa parły w kierunku Berlina czy Drezna. Wrocław i Głogów stanowiły po zdobyciu w ostatniej fazie działań zbrojnych swoiste inferno pogorzelska i gruzów. Nawet dziesięć lat po wojnie ulica Grabiszyńska we Wrocławiu stanowiła wawóz z rumowiskiem, na którym wyrosły sporej wielkości brzoźki, natomiast w Głogowie w roku 1972 rumowisko, jakie pozostało po starym mieście, uprzątnięto i w rozległej pustej przestrzeni żałość budziły ma-

niczce Placówki wiadomość, iż w Głogowie znajduje się ponemiecki magazyn z lekami, ale żeby się tam udać – niezbędne były odpowiednie prośby i uzasadnienia i pełniący obowiązki Naczelnika Oddziału Ruchowo-Handlowego PKP w Lesznie wystosował 8 sierpnia 1945 pismo następującej treści:

Do Obywatela Burmistrza w Głogowie.

Uprasza się o udzielenie pomocy w przydzieleniu różnych lekarstw oraz bandaży koniecznych potrzebnych dla Placówki

Czerwonego Krzyża na dworcu Leszno.

(-) Podpis nieczytelny

i wrzasnął, że mamy je opuścić, bo on je zajmuje, ale właśnie wracając po służbie weszła ona, matka moja, jeszcze w płaszczu, ale z opaską Czerwonego Krzyża, energicznie zaprotestowała i o dziwo moskal się zwinął.

1 maja 1948 roku uznano, iż dalsze utrzymywanie Punktu Sanitarно-Odżywczego PCK na stacji PKP w Lesznie stało się zbyt ciężkie, ale przez minione z górą trzy lata Placówka stanowiła pomocną przystań dla wędrujących wbrew własnej woli Polaków.

Barak, w którym znajdowała się Placówka Dworcowa PCK, dawno został rozebrany. Pozo-



➔ stało tylko kilka dokumentów znajdujących się w Muzeum oraz zapis w synowskiej pamięci.

EUGENIUSZ WACHOWIAK

Zaświadczenie (Odpis)

Polski Czerwony Krzyż Oddział w Lesznie zaświadcza niniejszym, że obyw. Wachowiak Kazimiera ur. dnia 24. 2. 1906, zamieszkała w Lesznie przy ul. Świąciechowskiej nr 7a, pracowała w tut. Punkcie Sanitarno-Odżywczym PCK na dworcu w Lesznie jako kierowniczką tegoż punktu od 2. 2. 1945 do 1. 5. 1948. W czasie tym zorganizowała Punkty Sanitarno-Odzywczcze w Zielonej Górze i Wschowie.

Ob. Wachowiakowa Kazimiera została zwolniona na skutek likwidacji Punktu Sanitarno-Odżywczego na dworcu w Lesznie z dniem 1. 5. 1948. Leszno, dnia 13 czerwca 1949

Pełnomocnik Oddziału PCK

(-) Wyglądaczowa

Pieczęć okrągła: Polski Czerwony Krzyż, pełnomocnik Oddział Leszno.

Post scriptum:

Cztery dziesiątki lat później w domu Kazimierzy Wachowiakowej zjawiał się dziennikarz, który uznał, iż temat godny jest opisu, a jego głównej postaci należy się złota odznaka za zasługi dla Polskiego Czerwonego Krzyża i dlatego poprosił o dokumenty i zdjęcia, ale „nominowana” przezeń osoba nie doczekała niestety nawet żadnej prasowej wzmianki, a zabrane przez dziennikarza papiery z trudem zdołano odzyskać.

No cóż, tak w życiu nieraz bywa.

E.W.

(Dokumenty dotyczące Kazimierzy Wachowiakowej znajdujące się w Muzeum Okręgowym w Lesznie są sygnowane: MLPHa 1346, MLPHa 1345, MLPHa 1348, MLPHa 1344 oraz MLPHa 1347).

*

Odpis z rękopisu listu napisanego ołówkiem przez jeńca Wehrmachtu (przypuszczalnie Ślązaka) Karola Gawliczka, osadzonego w Obozie Pracy w Gronowie, skierowanego do kierowniczką Placówki Dworcowej Polskiego Czerwonego Krzyża w Lesznie, Kazimierzy Wachowiakowej (pismo oryginalna, oryginał listu w

posiadaniu Eugeniusza Wachowiaka):

Obóz Pracy d. 14. 10. 45

Wielce Szanowna Pani Wachowiakowa! Nasampierw ślę Sza. Pani serdeczne podziękuję za tyle dobroci dla mnie okazanych, bo dzięki Szan. Pani tylko mogłem mój głód zaspokoić i na mnie ciężką pracę nałożoną na kolei dalej wykonywać. Znając szlachetne serce Szan. Pani, zwracam się do Pani w moim krytycznym położeniu z usilną prośbą że i tem razem mi pomocna będzie. Otóż dnia 12. X. będąc u Was z węglem i po śniadanie dla kolegów, wyskoczyłem do najbliższego piekarza aby jednemu z kolegów kupić 1. kg chleba. Po drodze natknąłem się na jednego z naszych wojskowych z Obozu ten odprowadził mnie na miejsce pracy i zrobił na mnie doniesienie o zamiarze ucieczki. Tutejsze władze sprawę poważnie potraktowały i osadzili mnie za to przestępstwo? w naszym areszcie aż do wyjaśnienia. Ponieważ sprawa jest poważna gdyż w poniedziałek d. 15. X. 45 przywiezione zostaną papiery z Poznania celem zwolnienia mnie, a poczyniony mi zarzut może mieć na moje zwolnienie wpływ, prosiłbym Sza. Panią o pomoc w tem kierunku. Nigdy zamiaru ucieczki nie miałem choć tyle okazji człowiek by miał ale chcę się do domu dostać w drodze legalnej gdyż nie jestem żadnym przestępcą i mogę każdemu prosto w oczy patrzeć. Jak Szan. Pani wiadomo już kilka razy byłem na mieście dla Czerwonego Krzyża bez dozoru i zawsze wróciłem na miejsce. To samo dotyczy Milicji Kolejowej. Byłem trzykrotnie na mieście i to także bez dozoru i samowolnie wróciłem na miejsce pracy. Jakbym miał zamiar uciekać to mi nie trzeba na miasto wychodzić gdyż pociągi stoją na dworcu to znaczy na miejscu pracy. Prosiłbym Sza. Panią udać się do Milicji Kolej. i z tamtąd od plutonowego wyprosić zaświadczenie że Czerwony Krzyż mnie potrzebował za zgodą Milicji iż darzyliście mnie zaufaniem i pilnością w wykonywaniu obowiązków iż nie jeden raz bez dozoru wychodziłem na miasto. Ze swej strony może Szan. Pani również jakieś świadectwo wystawić, co do mojej osoby. Zaręczam Panią że nigdy bym tego nie zrobił że bym wiedział iż takie skutki to za sobą pociągnie. Na mieście byłem sam kilka razy i napotkałem się z naszymi władzami a nawet uwagi mi nie zwrócili, tem razem natknąłem się na służbistę 101%. Pewny wysłuchania mej prośby i udzielenia pomocy, pozostaje z wyrazami należytego poważania

KAROL GAWLICZEK

Tadeusz Hofmański

Mamie z miłością

ZA PRZYCZYNĄ MATKI
POETA ODBIERA
NAJTRUDNIEJSZĄ LEK-
CJĘ
W ŻYCIU

Z koleją trzeba się pogodzić
Rzeczy?

W iście świetlistej Tajemnicy
przecież zanurzeni

tylko małoduszni
jak ja
w obawach

Próżnych?
Próżen

więc jestem
jeszcze

ufności jak
gdy chodzić po wodzie?

Ale z koleją się pogodzę
Rzeczy

W iście świetlistą Tajemnicę
zanurzony szczęśliwie

Święta na podwójnym gazie

Święta Bożego Narodzenia kojarzą nam się ze spokojem i odpoczynkiem. Nie dla wszystkich jednak upływają one sielankowo. Dla Policji to czas wzmożonej pracy. To właśnie w okresie świąteczno - noworocznym do Komendy napływa więcej zgłoszeń. A bywają różne – na przykład - zaproszenie dzielnicowego przez mieszkankę Kościana aby przyszedł pozbawić życia karpia pływającego w wannie; z relacji kościanianki wynikało, iż bardzo zżyła się z ową rybą. Potrzebowała pomocy w jej uśmierceniu. Nie podjęliśmy tej interwencji – wspomina żartem oficer prasowy Mateusz Marszewski.

Nerwowy samobójca

Rodzinne święta Bożego Narodzenia nie wszystkim przynoszą radość. Powszechnie wiadomo, że w okolicach Gwiazdki wzrasta liczba osób w depresji i targających się na życie. Samotność staje się nie do zniesienia. W radiu kolędy, wszyscy się krzątają i odwieżdżają. Kiedy ktoś nie ma dobrych relacji z bliskim, boleśnie to odczuwa. Najwięcej aktów samobójczych popełniają ludzie w wieku 16–21 lat. Drugim niebezpiecznym okresem jest wiek 45–55 lat. Wbrew rozpowszechnionym sądom samobójstwa w Polsce, jak i w większości innych państw świata, częściej popełniają mężczyźni niż kobiety. W Polsce na jedną kobietę, która popełniła samobójstwo przypada 5 mężczyzn-samobójców. Jeśli do ogólnego spadku nastroju dochodzi alkohol, niebezpieczeństwo jest większe.

Tak było w przypadku pięćdziesięciolatka, który „po pijaku” zaczął się awanturować w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Uspakajanie tylko potęgowało jego agresję, więc córka zadzwoniła po policję. Tymczasem tatuś miotając przekleństwa zapowiedział, że idzie się powiesić. Zanim przyjechali policjanci, już go nie było. Zdażyłby spełnić swoją groźbę, ale dosłownie w ostatniej chwili znaleziono go w ogrodowej altance dynącego na sznurze. Profesjonalna reanimacja zdołała przywrócić go do świata żywych. Niedoszły samobójca będzie leczył nerwy w kościańskim sanatorium.

Łaskawy Gwiazdor

Stwierdzono też, że w okresie świąteczno – noworocznym rośnie spożycie alkoholu, szczególnie tych mocno procentowych. Nie bez parady w dawnej Polsce wierzono, że na Wigilię woda w rzekach, potokach i źródłach zamienia się w wino i miód. Ale trzeba jeszcze wiedzieć jak się bawić i radować. Niektórym bowiem woda ognista potrafi uderzyć do głowy.

Prawidłowość ta była udziałem grupy młodych kościaniaków, którzy wybrali się na wieczorny spacer, suto zakrapiany alkoholem. W świątecznych nastrojach przemierzali ulice Kościana. A że było nudno i spokojne, postanowili urozmaicić sobie „nocne kolędowanie”. Co rusz dokonywali „bożonarodzeniowych” psikusów. A to złamali kilka drobnych drzewek przy ulicy Lipowej, a to znowu rozbili szybę w Zespole Szkół nr 1, czy rozwalili okno wystawowe przy ulicy Wrocławskiej. Zabawa była przednia. Zdażyli jeszcze zniszczyć kilka ogrodzeń prywatnych posesji oraz pokusić się o świąteczną lampę dekoracyjną. To jednak wciąż było mało. A tu cała noc przed nimi.

Punktem kulminacyjnym świątecznej wyprawy był „brawurowy” atak na dmuchaną, 3 – metrową figurę Świętego Mikołaja stojącą w centrum miasta. Jeden z młodzików z impetem rzucił się na Mikołaja i mocnym kopniakiem sprowadził go do parteru. Mimo, iż bardzo słusznej postury, Mikołaj nie wytrzymał ataku. Nie miał szans obrony. Leżącego „dobito” sil-

nymi kopniakami. Zdarzenie zarejestrowało czujne oko kamery. Sprawcy zostali ujęci i należą do ukarani. Części z nich przedstawiono zarzuty zniszczenia mienia, a pozostałym zakłócenia porządku publicznego. Pogromca Gwiazdora przyznał się policjantom, że nie ma z nim osobistych porachunków. Nie kierowała nim chęć zemsty czy odwetu. Oznajmił, że Boże Narodzenie bardzo lubi. Nie wie też do końca co oznacza gwiazdorska różga. Nie odczuł tego na własnej skórze. Być może w tym konkretnym wypadku ta wspaniałomyślna łaskawość Gwiazdora okazała się dla niego zgubna.

Zbłąkany wędrowiec

Polskie Święta to niewątpliwa atrakcja turystyczna dla wielu cudzoziemców. Do kurortów takich jak Zakopane, Kudowa, czy Kraków od lat przyjeżdża wielu zagranicznych gości, aby poczuć szczególną i jedyną w swoim rodzaju atmosferę. Nigdzie bowiem indziej nie usłyszą tak pięknych kolęd, nie zakosztują wyjątkowo pysznych świątecznych smakołyków. No i polskiego grzańca. Również i w naszych okolicach w owym czasie przebywa wielu szacownych gości. Najczęściej przyjeżdżają odwiedzić swoich przyjaciół. Ta magiczna atmosfera w połączeniu ze znaną polską gościnnością czasami kończy się dla nich spotkaniem z polskim stróżem prawa.

Tak świąteczna przygoda zakończyła się dla 39 – letniego Afrykańczyka, który przyjechał do Piotrowa odwiedzić swojego przyjaciela z czasów studenckich. Pewnej grudniowej nocy, tuż po Świętach do komendy zadzwonił przerażony mieszkaniec wsi. Z jego relacji wynikało, iż do drzwi mieszkania dobiła się czarnoskóra mężczyzna głośno wykrzykuje i chce sforsować drzwi wejściowe. Rozmówca czuł się wyraźnie zagrożony. Patrol policji czym prędzej udał się na miejsce

zgłoszenia. Jak się okazało użycie siły nie było konieczne. Nocnym rozbójnikiem okazał się być rzeczony Afrykańczyk, o jak najbardziej pokojowych zamiarach. Nienaganną polszczyzną i bardzo grzecznie wytłumaczył policjantom, iż przebywa u swojego znajomego na Świętach. Tego wieczoru wypili nieco polskiego alkoholu, który działa na niego bardzo energetyzująco. Postanowił więc wybrać się na spacer, aby zniwelować nieco działanie alkoholu i trochę ochłonać. Niestety w ciemnościach nocy zgubił drogę. Szukał pomocy i wskazówki jak dotrzeć do domu przyjaciela. Policyjna eskorta odtransportowała zbłąkanego wędrowca pod wskazany adres. Na tym jednak nie kończy się polska przygoda Afrykańczyka.

Parę godzin później w komendzie rozdzwoniły się telefony. Zaniepokojeni kierowcy przejeżdżający w tym czasie przez Piotrowo alarmowali, iż na krajowej piątce jakiś mężczyzna stwarza zagrożenie na drodze. Biega po jezdni, wymachuje rękoma i zatacza się. Niesfornym autostopowiczem okazała się być znany nam już dobrze Afrykańczyk. Ponownie w bardzo kulturalny sposób tłumaczył się silnym działaniem polskiego alkoholu. Po powrocie do domu z pierwszej wyprawy, gdy już ochłonał, wspólnie z przyjacielem ponownie usiadł do dalszego biesiadowania.

W trakcie rozmowy wywiązała się między nimi sprzeczka i niepokorny gość postanowił opuścić swego gospodarza. Udał się w kierunku drogi, aby złapać taksówkę. Jak się okazało po raz kolejny był nią radiowóz policyjny. Funkcjonariusze cierpliwie i ze zrozumieniem wysłuchali tłumaczeń obcokrajowca, a w ramach podtrzymania dobrych relacji na szczeblu międzynarodowym, poradzili mu umiarkowanie w degustacji polskich trunków.

Noworoczny pościg

Prócz niesfornych autostopowiczów plagą na świątecznych drogach są pijani kierowcy. Policja realizuje szereg zadań mających zapewnić nam spokój i bezpieczeństwo ruchu. „Trzeźwy Poranek” od wielu lat jest sztandarową akcją drogówki przeprowadzaną rokrocznie w okresie świąteczno – sylwestrowym. Wówczas to w ręce policjantów „wpada” wielu zuchwałych kierowców. Czas przywołać nieco statystyki.

W roku 2010 na drogach powiatu kościańskiego, w noworoczny weekend, policja zatrzymała 7 kierujących na „podwójnym gazie”. Nie obyło się bez brawurowych pościgów rodem z filmu sensacyjnego.

Podczas „policyjnej łapanki” jeden z zatrzymywanych próbował ratować się desperacką ucieczką. Pirat prowadzący volkswagena golfa łamał wszelkie możliwe przepisy. Jechał całą szerokością drogi, na pełnym gazie, przejeżdżał wysepki. Niebezpieczna pogoń omal nie zakończyła się tragedią. Ostatecznie golf wjechał w tył innego volkswagena. Dzielny funkcjonariusz, chcąc wykorzystać nadarżającą się okazję zneutralizowania niebezpiecznego rajdowca, próbował wyjąć mu kluczyki ze stacyjki. Ale w tym momencie uciekinier wcisnął pedał gazu. Potracił i przewrócił policjanta. Mimo tego desperackiego kroku, nie udało mu się uciec z rąk policyjnej obławy. Został obezwładniony i zatrzymany. Kierowcą okazał się być 58-letni obywatel Holandii. Badanie wykazało u niego 2 promile alkoholu we krwi. Nieustraszony stróż prawa trafił do szpitala z podejrzeniem złamania kości śródstopia.

A lichy nie śpi

Święta to także okres wzmoczonej aktywności włamywaczy. Niejednokrotnie w tym czasie decydujemy się na odwiedzenie bliższej lub dalszej rodziny, często w kraju bądź za granicą. Wówczas to budzą się ze snu zimowego nasze „świąteczne niedźwiadki”. Czyhając na dobytek pozostawiony bez nadzoru. Tak więc, grudzień to najlepszy czas w roku nie tylko dla handlowców, ale też dla złodziei. Statystyki pokazują, że w grudniu jest więcej kradzieży, włamań i rozbójów niż w ciągu innych miesięcy. Złodzieje najczęściej wchodzą do mieszkań przez uchylone okna lub drzwi balkonowe – taka sytuacja ma miejsce aż w 80 proc. przypadków. Niewątpliwie jedną z najefektywniejszych metod zabezpieczenia się przed niechcianym gościem jest sąsiedzka współpraca. Nie ma nic lepszego aniżeli czujne oko i ucho sąsiada. Nie zawsze jednak możemy liczyć na czujność zaufanego sąsiada. Bywa, że i ona zawodzi. Tak też było w pierwszy dzień Świąt 2007 roku.

Owego to wieczoru o godzinie 20.40 kościańska policja odnotowała włamanie do domu jednorodzinnego. Przebiegły włamywacz wykorzystał nieobecność domowników i ze sprytem godnym legendarnego Szpicbródki sforsowa

wał okno i dostał się do mieszkania. Skradł skrzętnie ukrytą sakiewkę, w której znajdowało się 2 tysiące złotych i 200 euro w gotówce.

Wielką pomysłowością, godną króla złodziei, wykazało się również dwóch młodzieniaszków. Tuż przed Sylwestrem z jednego z kościańskich marketów otrzymano zgłoszenie o kradzieży telefonów komórkowych. Pieczołowicie prowadzone śledztwo wykazało, iż przemyślni sprawcy, aby ukraść aparaty telefoniczne, posłużyli się małym fortem. Nie mogąc własnoręcznie sforsować zabezpieczeń sklepowych użyli sekatora zabranego wcześniej z innego stoiska. Dzięki niemu pokonali sprawiąjące trudności osłony znajdujące się na ekspozycji telefonów. Śledczym udało się odzyskać jeden z aparatów. Niestety drugi został wcześniej upłynniony w tajemniczych okolicznościach.

Chleb i czarna kawa

Aby zapewnić nam spokój ducha, policja nie próżnuje i tuż przed świętami. Tak było w przypadku szeroko zakrojonej akcji łapania przestępców. W przedświątecznym tygodniu funkcjonariusze zatrzymali pięć poszukiwanych osób. Podstawą do zatrzymań były sądowe nakazy doprowadzenia do placówek penitencjarnych. Pechowa piątka została przekonwojowana do aresztów śledczych i zakładów karnych. Boże Narodzenie przyszło im spędzić za kratkami. To się nazywa złośliwość losu. Zamiast świątecznej kołody, więzienna ballada. Wszyscy zatrzymani byli to mężczyźni, mieszkańcy powiatu kościańskiego. Dzięki naszym policjantom do cel trafili skazani za przestępstwa gospodarcze, przestępstwa narkotykowe oraz zwykli złodzieje. Nie zabrakło też śmiałka – recydywisty, który próbował przechytrzyć wymiar sprawiedliwości parokrotnie kierując na podwójnym gazie - mimo wcześniejszego wyroku sądowego. Jeden z powyższych pechowców nie stawiał się w zakładzie karnym po przewinie w wykonywaniu kary pozbawienia wolności. Sprawiedliwa ręka Temidy okazała się skuteczna, a kara dosięgła migających się od odpowiedzialności rzezimieszeków. Praworządność nie zważa na okoliczności. Nawet tak wyjątkowe jak bożonarodzeniowa atmosfera.

KATARZYNA ŻUREK